



www.poznaj-swiat.pl

# Poznaj Świat

2

2017

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY



str. 18

## VIA FRANCIGENA

PIECHOTĄ PRZEZ EUROPE

str. 36

## ZAMBIA

SHIKULU ZNACZY MĘDRZEC

str. 62

## KOLUMBIA

CUD NA SKALE

## REUNION

STR. 56

KREOLSKIE RETRO KOLONIALNE

## NORWEGIA

STR. 86

FOTY Z LOFOTÓW

## JAPONIA

STR. 78

CHICHI, HAHA

INDONEZJA

# WYSPY SZCZĘŚLIWE

str. 10



KOSTARYKA

STR. 26

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9177003216147041 02

SALZBURGER  
LAND

# BIAŁE, SZALEŃSTWO





VIA FRANCIGENA str. 18



INDONEZJA str. 10



KOSTARYKA str. 26



ZAMBIA str. 36



KOLUMBIA str. 62

## W NUMERZE...

**FOTOFORUM** str. 4  
Najlepsze zdjęcia  
naszych Czytelników

**INDONEZJA** str. 10  
Wyspy szczęśliwe.  
Magdalena Żelazowska

**VIA FRANCIGENA** str. 18  
O pieszym przejściu  
z Canterbury do Rzymu.  
Daria Urban-Kostyk  
i Wojciech Kostyk

**KOSTARYKA** str. 26  
Znajdą tu coś dla siebie  
wielbiciele odpoczynku  
na łonie natury  
i pasjonaci przyrody.  
Małgorzata Drewniak

**ZAMBIA** str. 36  
Polski misjonarz przez lata  
pomagał najbiedniejszym.  
Elżbieta i Piotr Hajduk

**GEOSKOP** str. 44

**POLSKA** str. 46  
Zimowe atrakcje  
Sądeczczyzny.

**PODRÓŻNOŚCI** str. 54  
Hygge!  
Felieton Magdaleny  
Żelazowskiej

**REUNION** str. 56  
Wyspa zachwyca  
charakterystyczną  
architekturą – chatami  
i willami kreolskimi.  
Tomasz Jaraczewski

**KOLUMBIA** str. 62  
Bazylika Las Lajas to  
jeden z najpiękniejszych  
kościółów na świecie.  
Karolina Wudniak

**NAVIGATOR** str. 67

**POLSKA NIEZNANA** str. 70  
Chodźmy na żubra!  
Felieton Mikołaja  
Gospodarka

**POZNAJ ZWYCZAJ** str. 72  
Smakowita Irlandia.  
Radosław Kożuszek

**JAPONIA** str. 78  
Roześmiane wyspy  
Chichi i Haha.  
Wojciech Dąbrowski

**MIKROWYPRAWY** str. 84  
Powrót do dzieciństwa.  
Felieton Łukasza  
Długowskiego

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:  
**NORWEGIA** str. 86  
Foty z Lofotów.  
Mikołaj Gospodarek

**POZNAJ ŚWIAT  
OD KUCHNI** str. 96

**Z PERSPEKTYWY** str. 98  
Spadek po Kara Mustafie.  
Felieton Ryszarda  
Badowskiego

**OUTDOOR** str. 100

**POLSKA,  
KTÓREJ NIE MA** str. 104



NA OKŁADCE:  
młode mieszkanki  
Jogakarty na  
indonezyjskiej  
Jawie

Kamil Daniel Jutkiewicz

FRANCJA

## Kosmiczna, ale przystępna

Zdjęcie przedstawia wspinaczy na grani Cosmiques, jednym ze wspinaczkowych klasyków doliny Chamonix. Swoją popularność zawdzięcza m.in. łatwemu dostępowi. Z miasteczka w 20 minut wjeżdża się kolejką linową niemalże na sam szczyt Aiguille du Midi. Stamtąd stromą i eksponowaną granią schodzi się do doliny Blanche – ogromnego pola śnieżnego z niezwykłymi widokami na najwyższy szczyt Europy Mont Blanc. To tu słynny Grandes Jorasses w całej okazałości prezentuje wymagający Filar Walkera i to stąd zaczyna się wspinaczka granią Cosmiques. Droga kończy się na tarasach widokowych umieszczonych na tyłach kolejki linowej, którą można wrócić do Chamonix.







© RUDI SEBASTIAN, NIEMCY, „Odróż malowany piaskiem”

Rudi Sebastian (Niemcy)

BRAZYLIA

## Piaskiem malowane

Biały piasek w Parku Narodowym Lençóis Maranhenses jest nawiewany i formowany w półkolisty wydmy wzdłuż brazylijskiego wybrzeża Atlantyku. W porze deszczowej warstwa nieprzepuszczalna znajdująca się pod piaskiem tworzy tysiące lagun. Glony i sinice zabarwiają wodę na odcienie zieleni i błękitu, a osad nanoszony z odległych lasów deszczowych płynie rdzawymi żyłkami.

KATEGORIA: SZCZEGÓŁY  
SEKCJA: SZTUKA ZIEMI  
ZWYCIĘZCA

ZDJĘCIE I TEKST POCHODZĄ Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2016, KTÓREJ PATRONEM MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT. W DNIACH OD 3 DO 26 LUTEGO 2017 WYSTAWA JEST PREZENTOWANA W TORUNIU W CENTRUM NOWOCZESNOŚCI „MŁYN WIEDZY” PRZY ULICY ŁOKIETKA 5. WWW.FOTOGRAFIADZIKIEJPRZYRODY.PL

Marta Przewoźna

HOLANDIA

## Przyszłość się odbija

IJ Dock to wysepka na kanale w środku Amsterdamu. Znajdują się na niej futurystyczne budowle. Królują szkło, ostre kąty, spiczaste zakończenia i perfekcja. Każdy budynek jest inny, a jednak razem tworzą spójną całość. Lustrzane odbicie było możliwe dzięki obfitym opadom deszczu.

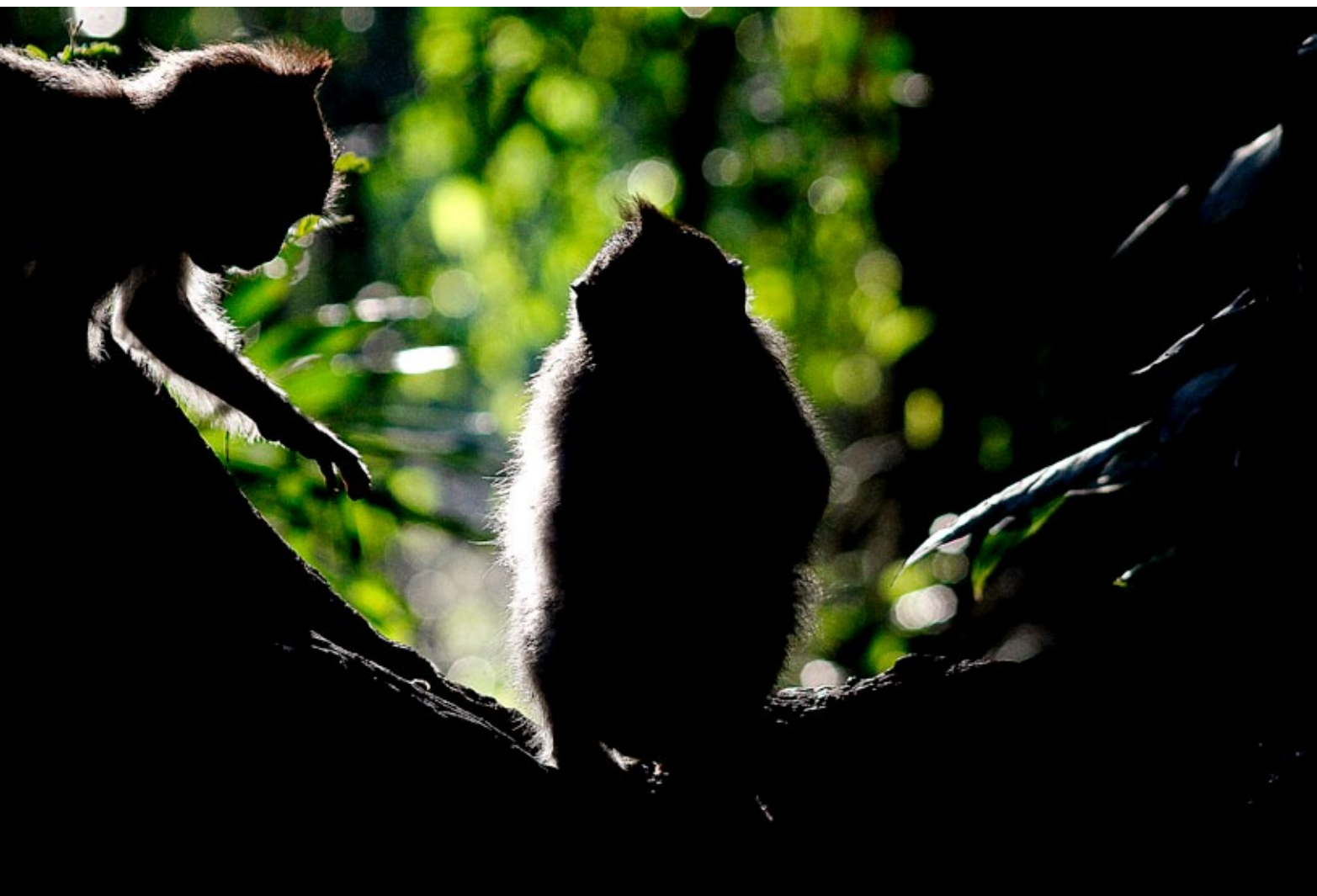


Maciej Korbański

INDONEZJA, BALI

## Pogromcy duchów

Sacred Monkey Forest Sanctuary, zwany Małpim Gajem, w miejscowości Ubud na Bali jest zamieszkały przez kilkaset makaków długoogonowych. Ten niewielki deszczowy las jest dla Balińczyków niczym świątynia symbolizująca harmonię pomiędzy ludźmi i zwierzętami. Wierzą oni, że małpy mogą ucieleśniać zarówno dobre, jak i złe moce. Makaki z Małpiego Gaju są czczone i chronione jako te, które potrafią strzec świątyń przed złymi duchami. Małpy bardzo chętnie podchodzą do turystów i oczekują w zamian owoców. Na terenie lasu znajdują się trzy świątynie hinduskie: główna – Pura Dalem Agung Padangtegal, oczyszczenia – Pura Beji oraz kremacyjna – Pura Prajapati. Odbywają się tu różne ceremonie i festiwale.







Monika Mizera

BORNEO

## Zadziera nosa

Te wyjątkowe mały charakteryzuje wielki, kulfoniasty nos, który u starych samców wydłuża się do 10 cm i zwisa. Nosacze żyją w małych, trwałych grupach złożonych z samca i kilku samic. Nadmierna eksploatacja Borneo jest poważnym zagrożeniem dla tego gatunku. Wycinka dżungli pod plantacje palm olejowych niszczy ich środowisko naturalne.

Samiec ze zdjęcia wdał się w konfrontację z innym. Zapewne poszło o samicę.

Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: [redakcja@poznaj-swiat.pl](mailto:redakcja@poznaj-swiat.pl).  
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.  
Minimalny rozmiar nadsyłanych fotografii to 2 MB.



# WYSPY SZCZĘŚLIWE

Magdalena Żelazowska







FOT. MAGDALENA ŻELAZŃSKA

**SŁODKI CIĘŻAR**  
Sprzedawczyni owoców na wyspie Gili Meno. Na głowie ma spory ciężar dojrzałych owoców. Jedyne sposoby, aby jej ulżyć, to skusić się na te kokosy czy ananasy.

Według mitologii greckiej Wyspy Szczęśliwe to część Hadesu, do której trafiali cnotliwi zmarli. W tej rajskiej krainie cieszyli się wiecznym odpoczynkiem w nagrodę za szlachetne życie. Przez wieki trwał spór o to, gdzie wyspy te mogą leżeć. Typowano Azory, Maderę, Wyspy Kanaryjskie, Wyspy Zielonego Przylądka... Mam na ten temat własne zdanie: Wyspy Szczęśliwe to Indonezja!

**W**yobraźcie sobie swoją emeryturę. Wiek koło siedemdziesiątki, turkusowy ocean, leżak nad basenem skryty w cieniu palm, przy stoliku drinki z sokiem ze świeżo wyciskanych owoców. Na twarzy powiew oceanicznej bryzy, a na waszym opalonym ciele kojący dotyk dłoni młodej masażystki... Tak, to możliwe, pod warunkiem że jesień życia postanowicie spędzić w Indonezji.

Jestem fanką wysp. Kolekcjonuję je i zgłębiłam jedną po drugiej, jak osobne mikroświaty. Na wyspach życie płynie wolniej, a ludzie są łagodniejsi. Mniej tu dużych miast i przemysłu, za to więcej czasu. Morskie wody odcinają mieszkańców od zgiełku wielkiego świata. Prędzej czy później musiałam więc trafić do Indonezji – kraju rozciągającego się na 17 508 wyspach. Znalazłam tu wszystko, czego domagał się mój wyspiarski apetyt, a nawet więcej.

## PODRÓŻ DO EDENU

*Pokaż mi wody ogromne i wody ciche, rozmowy gwiazd na gałęziach pozwól mi słyszeć zielonych*

Wieczorem ląduję w Dżakarcie, a już następnego ranka pędzę koleją daleko w głąb Jawy. Pociąg mija wzgórze i plantacje herbaty, przecina bananowe gaje, meandruje wzdłuż serpentyn ryżowych tarasów. Wsiadam na stacji końcowej w Yogyakarcie i przenoszę się w czasie do kolonialnych Indii Wschodnich. Yogya urzeka ptasim targiem, Kratonem (pałacem sułtana), baśniowym pałacem wodnym i Malioboro, główną ulicą pełną starych, malowanych riks, w których drzemią uśpieni słońcem kierowcy.

Jedenaście godzin rozklekotanym busikiem na wschód leży wulkan Bromo (2329 m n.p.m.), wynurzający się z porannych mgieł nad księżycowym pustkowiem z zastygłej lawy.

Ci, którzy wolą stożki o zachodzie słońca, mogą udać się na zaciszną wyspę Lombok lub koralowe wysepki Gili, które dzięki białym piaskom i lazurowym wodom znajdują się w czołówce pretendentów do miana ziemskiego raju. Rozciąga się stamtąd widok na

balijski wulkan Agung (3142 m n.p.m.), tak zachwycający jak sama Bali. Na tej ostatniej każdy znajdzie coś dla siebie: oceaniczne plaże z morskimi żółwiami, plantacje kawy, rzędy strzelistych palm i huczące wodospady spływające z gór porośniętych skłębioną dżunglą.

## WIECZNY WYPOCZYNEK

*Ty mnie ukolysz i uspij, snem muzycznym zasyp, otumań,  
we śnie na wyspach szczęśliwych nie przebudź ze snu.*

Te i inne uroki Bali odkrył Sijf van Zuilen, holenderski emeryt prowadzący hotel Rattan Resto w Lovinie. Niech was nie zwiedzie imię gospodarza – miejsce spełnia najwyższe standardy, także estetyczne. W przeciwieństwie do wielu obiektów w okolicy, jak choćby odstrasający nazwą hotel Dupa, Rattan jest jak furtka do krainy czarów. Wokół tropikalnego ogrodu z orzeźwiająjącym basenem rozmieszczono kameralne apartamenty, z których każdy ma własny styl i dekoracje: muszle, gałęzie

drzew lub tytułowy rattan. Kiedy biorę prysznic w łazience pod gołym niebem i kwiatami migdałowca, słyszę śpiew dziesiątków gatunków ptaków, które w hotelu rezydują na stałe.

Sam Sijf w niczym nie przypomina typowego seniora: krzepki i opalony, żyje według motta wiszącego w nastrojowym barze Rattanu: *There's no better life than a good life*. Kiedy zdejmuję z patelni śniadaniowy omlet z pomidorami, Sijf jest już po porannej

### KWIATEK DO WULKANU

**Wspinaczka po masywie Bromo prowadzi do parującego krateru. Można do niego wrzucić ofiarę z kwiatów i poprosić o spełnienie życzenia. Pan kwiaciarz czeka na klientów...**



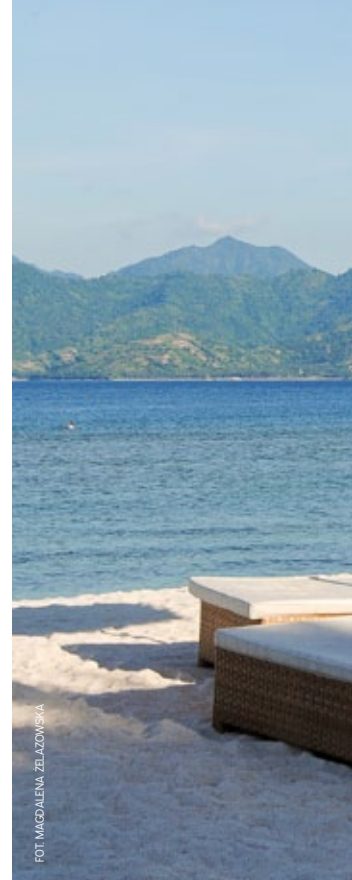
FOT. MAGDALENA ŻELAZOWSKA



FOT. MAGDALENA ZELAZOWSKA

### EKOWYSPY

Na koralowych wysepkach Gili nie ma pojazdów silnikowych. Każdą z trzech wysp: Gili Air, Gili Meno i Gili Trawangan można objechać wyłącznie osłą bryczką.



FOT. MAGDALENA ZELAZOWSKA

kąpieli w gorących źródłach w malowniczym Banjarze. Mówi, że słońce, ciepłe kamienie i masaż kokosowym olejkiem są najlepsze na kości. Jego urocza balijska przyjaciółka niesie z milczącym uśmiechem dzbanek doskonałej kawy...

Wieczorem wpadną do nich przyjaciele: niespełniony pisarz z Niemiec i emerytowany kierowca z Australii, którzy też spędzają tu drugą młodość. W karcie z drinkami widzę dedykację: *To all Bali expats who died on the island they loved.*

Podejrzewam, że świetna forma tutejszych seniorów to także efekt indonezyjskiej

diety. Aby to sprawdzić, idziemy do *warungu* (jadłodajni rodzinnej) Apple w turystycznej uliczce prowadzącej na szarą wulkaniczną plażę w Lovinie. Zaczynamy od świeżych soków owocowych zmiksowanych z kruszonym lodem. Do tego przystawka – sałatka z tropikalnych owoców: mango, papaja, arbuż, *salak*. Zapomnijcie, że uda się wam odtworzyć te smaki w Polsce! Czas na główne danie. Mamy ochotę na odmianę od wszechobecnych, smażonych z kurczakiem, jajkiem sadzonym lub warzywami, *mie goreng* (makaronu) i *nasi goreng* (ryżu). Zamawiamy więc *gado gado* (warzywa w orzechowym sosie) i *pepes* z merlina, czyli rybę pieczoną w liściach bananowca.

W *warungach* stołujemy się dość rzadko. Prawdziwe smaki Azji sprzedaje się na ulicznych straganach. Budki widma wyrastają tam, gdzie jeszcze przed chwilą nic nie było. Koło południa na wiejskim rogu parkuje skuter obudowany turystyczną lodówką i kuchenką. Za chwilę do kierowcy i kucharza zarazem ustawi się kolejka chętnych na zupę, wlewaną do foliowych woreczków. Po zmroku (równy o 18.00) wzdłuż miejskich deptaków rozkładają się drobiowe garkuchnie. Dywan do siedzenia, kilka niskich ław, kuchenka – i można

### WONNE KADZIDŁO

Ten hotelowy szyld nie zachęca, ale spokojnie... owe bardzo znane u nas słowo po indonezyjsku znaczy „wonne kadzidło”.



FOT. MAGDALENA ZELAZOWSKA



### PLĄZOWE PARTY

Gili Trawangan to imprezowa przystań dla backpackerów. Wzdłuż plaży ulokowały się bary, restauracje i dyskoteki. Zwykłe życie mieszkańców spokojnie toczy się w głębi wyspy.



zaczynać. Curry, skrzydełka, udka, małe szaszłyki *sate* w sosie sezamowym – kurczak to król indonezyjskiej nocy, nie tylko ze względu na walki kogutów.

System straganowy przyjęły nawet eleganckie restauracje na imprezowej Gili Trawangan. Kiedy spaleni słońcem goście z wolna przyczłapują z plaży, obsługa wysypuje lód na wspaniałe wyszynki z soczystymi mięsami, egzotycznymi sałatkami i tęczowymi rybami z raf koralowych.

W tym samym czasie senny placyk obok poczty przemienia się w kulinarny festiwal. W onirycznej oprawie pyszną się wspaniałości z głębin oceanu: sprężyste kalmary, dostojne ośmiornice, pulchne krewetki z Sumbawy. Na grillach skwierczą szaszłyki z tuńczyka, wydzielając oszałamiający zapach. Co chwila ostrzegawczo syczą krople pikantnych sosów spadające na rozgrzany węgiel. Ostra słodycz ananasów tnie język jak blender, który w dzbanku stapia miąższ w złoty nektar. Największa kolejka jest przy deserach – puszyste kokosowe chmurki, banany zapiekane w cienkich naleśnikach, złociste ciasta z cukrem palmowym. Gdyby ktoś jeszcze nie czuł się dość bosko, to ta ambrozja działa jak kaptuła do raju.

## PRZYMKNIEŃ OKO OPATRZNOŚCI

*Dużo motyli mi pokaż, serca motyli przybliż i przytul,  
myśli spokojne ponad wodami pochyl miłością.*

Dla Balijszczyków karmienie ciała jest tak samo istotne, jak strawa dla duszy. Wszystkimi dobrami dzielą się z bóstwami. Od rana kobiety, spowite w tęczowe sarongi, szepczą modlitwy i rozkładają wszędzie małe trzcinowe koszyczki z zatkniętym kadzidełkiem, napełnione wcześniej kwiatami, ryżem i słodyczami.

### KOSZYCZKI NA SZCZĘŚCIE

Na hinduistycznej Bali wszędzie można napotkać koszyczki z kwiatami i słodyczami. Mają one przekonać bóstwa, aby strzegły ofiarodawców oraz zapewniły im pomyślność.





FOT. MACDALENA ZELAZOWSKA

### TAJEMNICZA BOROBUDUR

Fragment jednej z największych na świecie buddyjskich świątyń. Borobudur, powstała na przełomie VIII i IX w., leży w dżungli na Jawie. Żadne źródła nie podają ani celu powstania budowli, ani jej zleceniodawcy.

### SPA U SUŁTANA

XIX-wieczny pałac wodny Taman Sari w Yogyakarta. Służył jako miejsce wypoczynku i medytacji. Z kąpiących się tutaj nałożnic sułtan wybierał sobie towarzyszkę na noc.

Kolorowe ofiary trafiają przed domy, *warungi* i na brzeg morza. Poczęstunek jest formą wdzięczności i prośbą o ochronę przed złymi duchami. Bogowie regularnie zgłaszają się po odbiór ofiar, sama widziałam. W centrum popularnego kurortu świąty koszyk opróżniał w spokoju szczur. Nikt poza mną nie dziwił się tej scenie, nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby go spłoszyć. To przecież boski posłaniec.

Podobne przenikanie sfery ziemskiej i boskiej widać w całej Indonezji. Kult ciała współistnieje z modą na duchowe poszukiwania. Wszechobecne salony masażu i urody sąsiadują z ośrodkami medytacji. Codziennemu funkcjonowaniu sklepów i punktów usługowych spod przymkniętych powiek przyglądają się posąжки Buddy. Powszednie sprawy Indonezyjczyków przeplatają animistyczne legendy i wiara w duchy. Indonezja to największy muzułmański kraj na świecie, jednocześnie Bali jest w większości hinduistyczna, a Flores – katolicka. Wspaniałe świątynie konkurują tu ze sobą w walce o pielgrzymów. Mistyczne piękno ozdobnej Prambanan i otulonej dżunglą Borobudur przychyli nieba najbardziej niewzruszonym agnostykom.

### PIĘKNE ISTOTY

*A ty mnie na wyspy szczęśliwe zawieź,  
wiatrem łagodnym włosy jak kwiaty rozwieź, zacałuj.*

Indonezja pełna jest pięknych ludzi. Urzekających dzieci z wielkimi oczami, oliwkowoskórych dziewcząt oraz filigranowych starszków o śmiejącym się spojrzeniu. Błdzi i pulchni turyści szybko tu chudną i pokrywają się złotą opalenizną, a słona morska



FOT. MACDALENA ZELAZOWSKA



woda ujędrnia ich galaretowate ciała. Kontakt z mieszkańcami sprawia, że pięknieją także wewnętrznie.

Przyznaję, po doświadczeniach w innych azjatyckich krajach byłam nieufna. Kiedy ktoś podchodził i pytał, czy wskazać drogę lub zapozować do zdjęcia, odruchowo sięgałam po portfel. Niepotrzebnie – dla Indonezyjczyków byliśmy po prostu ciekawi. Są mili, a żeby cię nie zawieść, wskażą ci dowolny kierunek, choć czasami nie mają pojęcia, gdzie leży twój cel. A kiedy niczego nie kupisz od miejscowego sprzedawcy, wcale nie okaże rozczarowania. Ale jeśli na coś się zdecydujesz, pomoże ci jak najpełniej skorzystać na twoim nabytku: troskliwie zawiąże bransoletkę, rozłupie maczetą kokosa, pokaże, jak przeżuwać twardy miąższ. Uprzejmość i pogoda ducha jest wspólnym mianownikiem mieszkańców tego geograficznie i kulturowo rozstrzelonego kraju.

Narodowe hasło Indonezji to „Jedność w różnorodności”. W indonezyjskim archipelagu nie ma samotnych wysp. Są tylko wyspy szczęśliwe. ○

Cytaty w tekście pochodzą z wiersza „Wyspy szczęśliwe” Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

**KUBA ♦ KOLUMBIA ♦ AMAZONIA**

R E K L A M A



### EMANCYPANTKI

W Indonezji dominuje islam, jednak tutejsze kobiety prowadzą nie tylko domy, ale także skutery i własne biznesy. W wioskach zachodniej Sumatry panuje nawet matriarchat.

[www.poznaj-swiat.pl](http://www.poznaj-swiat.pl)



### Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka. Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachlanni” i „Hotel Bankrut”. Prowadzi blog podróżniczy [www.zgubsietam.pl](http://www.zgubsietam.pl).

# PIECHOTA PRZEZ EUROPE

Daria Urban-Kostyk,  
Wojciech Kostyk





FOT. DARA URBAN-KOSTYK



Jest X wiek naszej ery. Z położonego w południowej części Wysp Brytyjskich Canterbury wyrusza Sigeric – arcybiskup tamtejszej katedry. Zmierza do Rzymu. Zapewne zastanawia się, czy zdoła osiągnąć cel. Droga jest długa i niebezpieczna, czeka go ponad dwa tysiące kilometrów. Nie zdaje sobie sprawy, że tysiąc lat później po jego śladach podążać będą inni wędrowcy.

**W**ysiłki się opłacają. Dociera na miejsce. Podziwia miasto, spotyka papieża. Gdy wraca, jest już zapewne spokojniejszy. Zna trasę, wie, czego się spodziewać. Żeby zatrzymać wspomnienia, spisuje każdą miejscowość, w której nocował w drodze powrotnej. Tak powstaje Via Francigena. Szlak wiodący z Canterbury przez francuskie winnice, szwajcarskie Alpy i włoskie miasteczka aż do Rzymu. Zrekonstruowany na podstawie średniowiecznych zapisków Sigerika i długiej historii wędrówek tą trasą, dziś przyciąga coraz liczniejszych piechurów.

## Z BIESAMI DO RZYMU

Spoglądamy w stronę wąskiej, schowanej za krzakami ścieżki. Za plecami zostało Canterbury, przed nami wielka niewiadoma



**START SIGERIKA**  
Katedra w Canterbury. Tu biskup Sigeric ponad tysiąc lat temu rozpoczął swoją wędrówkę.

FOT. SHUTTERSTOCK

żeby dotrzeć do Rzymu, trzeba jakoś przedostać się na ląd. Wsiadamy na prom w Dover. Gdy patrzymy na oddalającą się linię śnieżno-białych klifów, mamy lekkiego kaca moralnego. W końcu cała trasa miała być piechotą. Zamaszystym krokiem przemierzamy pokład z jednej strony na drugą. Nie możemy przecież oszukiwać...

Przybijamy do brzegu po drugiej stronie kanału La Manche, we francuskim Calais. Przesuwamy zegarki o godzinę do przodu i robi się 20.00. Dalej już dziś nie zawędrujemy. Rozbijamy namiot na kempingu i dokładnie przetrząsamy plecaki. Minęło zaledwie

kilka dni, a barki już odmawiają nam posłuszeństwa. Nie dotrzemy do Rzymu z tak ciężkimi bagażami. Zostają trzy koszulki, trzy zmiany bielizny, bluza, długie i krótkie spodnie. Do tego śpiwory, przewodniki po szlaku i niewielka butla z gazem do gotowania. Resztę wyrzucamy. Dobra... zostają jeszcze „Biesy” Dostojewskiego. Coś trzeba czytać. Każdy ma własną definicję luksusu.

Rano, gdy dźwigamy na ramionach nie więcej niż 8 kg, idzie się dużo przyjemniej. Lekcja z poskramiania konsumpcjonizmu odrobiona. Nie kupuj dwóch ciastek, skoro wystarczy ci jedno.

Niestety, nie ze wszystkim jest tak łatwo. Środek lata, ale wiatr i deszcze nie dają nam spokoju. Woda wdziera się pod peleryny przeciwdeszczowe, a w plecakach robią się kałuże. Noce spędzamy w zaroślach, pod namiotem. Nie ma gdzie wysuszyć przemokniętych ubrań. Bez przerwy dygoczymy z zimna. W niedługim czasie obydwójce jesteśmy chorzy. Gorączka pali pod spuchniętymi powiekami, a my rozważamy, czy w tym całym przedsięwzięciu

i maleńki znaczek przedstawiający postać wędrowca. Wokół niego napis: „*Omnes viae Romam perducunt*”. Strzałka wskazuje na zarośla. Skoro „wszystkie drogi prowadzą do Rzymu”, to ta zapewne również. Odgarniamy napierające na nas krzaki i ruszamy na szlak.

– *Bullshit!* – słyszymy od napotkanego kilka kilometrów dalej Anglika, gdy w odpowiedzi na pytanie o cel naszej wędrówki pada krótkie: – *Rzym*. Takie reakcje stają się równie powszechne,

jak towarzysząca nam od samego początku mżawka. W sumie nic dziwnego. Pomysł rzeczywiście dla większości ludzi nieco abstrakcyjny, a popularność szlaku najwyraźniej na Wyspy jeszcze nie dotarła.

Mijamy maleńkie wioski porośnięte bluszczem, stare kościołki i cmentarze, przechodzimy przez skąpane w deszczu pastwiska. Mimo kiepskiej pogody cieszymy się z tych kilku dni w Anglii. Szkoda, że tak szybko musimy ją opuszczać, ale



**OMNES VIAE ROMAM PERDUCUNT**

Na trasie każdy drogowszak przekonuje, że „Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu”.

nie pomyliliśmy się w obliczaniu rachunku sił i zamiarów.

Mimo trudności nie zwalniamy tempa. Każdego dnia 30–40 km. Po dwóch tygodniach wreszcie wychodzi słońce. Czujemy się dużo lepiej. Z większym optymizmem, ale jed-

powitanie. Ciekawe, czy zdają sobie sprawę, że przebiega tędy szlak do Rzymu.

Jeszcze nie spotkaliśmy żadnego wędrowca, ale nie czujemy się zupełnie osamotnieni. Wprawdzie większość nocy spędzamy pod namiotem, lecz pojawiają się też nieliczne,



FOT. SHUTTERSTOCK

nocześnie z większym szacunkiem patrzymy na szlak. Jesteśmy w sercu Szampanii. Droga prowadzi przez ciągnące się aż po horyzont winnice. Nagrzane słońcem liście winogron wydzielają charakterystyczny, kwaśnawy zapach. Pracownicy czasami do nas zagadują, czasami tylko się uśmiechają i machają na

przygotowane z myślą o takich jak my schroniska. Zazwyczaj prowadzą je instytucje kościelne albo miejscowe samorządy. W środku zawsze czekają łóżka i ciepły prysznic. Są też księgi gości. Wpisy pochodzą od podróżników z różnych części świata. Widać w nich od razu, że przechodzili to samo co my.

## **PODRÓŻ DO ŹRÓDEŁ**

**Centrum miejscowości Ornans wyznacza rzeka Loue. Kolejny dzień na szlaku to wędrowka w górę jej biegu, aż do źródeł.**

**NAD WODĄ WIELKĄ I CZYSTĄ**  
Jezioro Genewskie. Szczyty Alp  
wyglądają wspaniale o każdej  
porze, ale największe wrażenie  
robią o zachodzie słońca.



FOT. WOLJEECH/KOISTYK

Dosłownie i w przenośni. Robi nam się dużo różniej. Pierwsze spotkania to na pewno tylko kwestia czasu.

## PÓŁMETEK U BERNARDA

Mijają tygodnie. Po mniej więcej 800 km docieramy do Ornans, pięknego miasteczka, położonego w sercu francuskiej Jury. Pochodził stąd znany malarz realista Gustave Courbet. Przedstawiał w swoich dziełach wyniosłe szczyty, wapienne skały i piękne lasy. Uwiecznione na nich krajobrazy mamy na wyciągnięcie ręki.

W niemy zachwycie przeskakujemy przez wąskie strumyki, wspinamy się na pagórki i przeciskamy obok skał, wędrując do źródeł rzeki Loue. Za nią jest jeszcze piękniej. Przekraczamy granicę francusko-szwajcarską. Przed nami rozciągają się Alpy.

Kilka dni później patrzymy, jak Jezioro Genewskie przybiera fioletowy odcień. Właśnie zaszło słońce i na ten jeden moment nastąpiła niczym niezmacona cisza. Tafi wody nie marszczą żadne fale. Po drugiej stronie dumnie piętrzą się ośnieżone

## SIENA PALONA

Katedra w Sienie wyróżnia się pasiastymi zdobieniami na tle murów i dachów, które mają odcień sjeny palonej.



FOT. SHUTTERSTOCK

szczyty. Pod nimi, nad brzegiem, zapalają się sznury świateł. Siedzimy i w zachwycie podziwiamy góry. Następnego dnia ruszamy w ich stronę, a po trzech etapach wspinamy się na Wielką Przełęcz Świętego Bernarda. 2473 m n.p.m. nie brzmi jak wielki wyczyn, ale po raz pierwszy udaje nam się zdobyć jakieś wzniesienie od zera – z poziomu morza. W końcu wspinaliśmy się tu przez całą Francję, od momentu zejścia na ląd w Calais.

Ciszę górskich ścieżek przerywa jazgot silników. Wielka Przełęcz to jednocześnie granica szwajcarsko-włoska. Prowadzi tędy droga, którą upodobali sobie właściciele camperów i motocykli. Okolice zasypane jest pluszakami. Ze stoisk z pamiątkami wylewają się różnych rozmiarów bernardyny. Małe maskotki i ogromne figury. Wszystkie łączy przywieszona na szyi beczułka, w której psy miały przynieść brandy ratującą życie zagubionym podróżnikom. To raczej mit, ale faktem jest, że psy, trzymane w schronisku dla wędrowców, założonym tu tysiąc lat temu przez św. Bernarda z Menthon, stanowiły nieocenioną pomoc w akcjach ratunkowych.

Tłumy nie przypadają nam do gustu. Schodzimy z przełęczy. Za nami ponad połowa drogi. Przed nami ostatni z krajów. We Włoszech ma być już prosciej. Duża liczba schronisk na szlaku i dobre oznaczenie trasy to duże ułatwienie, dlatego wielu piechurów decyduje się na rozpoczęcie wędrówki właśnie na przełęczy. Wciąż jednak przed nami 1000 km.

## CYTRYNÓWKA U SIOSTRZYCZEK

Schodzimy coraz niżej, po kilku dniach Alpy stają się tylko wspomnieniem. Otaczają nas pola ryżowe. Nie zdawaliśmy sobie dotąd sprawy, że Włochy są największym producentem ryżu w Europie. Mijamy pracującego przy polnej dróżce mężczyznę. – *Przepraszam* – pyta nieśmiało – *idziecie może do Rzymu?* – Wyrwani z wielokilometrowej zadumy, spoglądamy na niego z roztargnieniem, podczas gdy on z kieszeni wyciąga kilka euro. – *Mam do was prośbę. Zapalcie dla mnie świeczkę, jak dotrzecie na miejsce. W ogromnym zdziwieniu ledwo udaje nam się kiwnąć głowami, lecz on już na nas nie patrzy i wraca spokojnie do pracy.*

## DALEJ JUŻ Z GÓRKI

**Wielka Przełęcz św. Bernarda (2469 m n.p.m.) to najwyższy punkt na całej Via Francigena.**



FOTO: DARIUSZ URBAN-KOSTYK

Odchodzimy i zastanawiamy się, jak to możliwe, że odgadł cel naszej drogi.

Teren znów staje się po-fałdowany. Pożegnanie z Alpami nie było zakończeniem górskich wędrówek. Przed nami kilkudniowy odcinek przez Apeniny. To pasmo ciągnie się przez ponad 1300 km z północy na południe Włoch. My poznajemy tylko niewielki fragment, który przypomina nam bieszczadzkie szczyty. Na otulonych mgłą łąkach pasą się stada koni. Ciągłe wchodzenie i schodzenie potęguje wielokilometrowe zmęczenie, ale widoki wszystko wynagradzają.

## MANHATTAN ŚREDNIOWIECZA

**Tak nazywane jest San Gimignano. Wieże średniowiecznego miasta górują nad okolicą.**



FOTO: DARIUSZ URBAN-KOSTYK

**NAGRODA PIELGRZYMA**

**Widok z Monte Mario. Do kresu wędrówki pozostało zaledwie kilka kilometrów. Trudno uwierzyć, że można dotrzeć tu pieszo aż z Canterbury.**

Powrót w doliny zmusza nas do refleksji. W drogę wyruszyliśmy w lipcu, a teraz nagle tabuny idących do szkoły dzieci uświadamiają nam, że rozpoczął się wrzesień. Tyle czasu w drodze, tyle kilometrów za nami. A czy w nas coś się przez ten czas odmieniło?

Niezależnie od korzyści duchowych szlak daje niemal wszystko, co możliwe w aspekcie krajobrazowym. Kilka dni po Apeninach rozpościera się przed nami Morze Liguryjskie.

Ciepłe fale biją o brzeg, a różnokolorowe kamieniczki kurortów mienią się w słońcu. Przez całą drogę przyzwyczailiśmy się jednak do ciszy i naszej dwuosobowej samotności, dlatego dość szybko stamtąd uciekamy. Większe wrażenie robi na nas Toskania. Pagórki, winnice, aleje cyprysów i wznoszące się pod niebo średniowieczne wieże San Gimignano. Nie samymi zabytkami jednak żyje człowiek...



FOT. DARIA URBAN-HOSTYK



– *Żebyście sobie nie myśleli! My tutaj dbamy o pielgrzymów!* – Nie powalił nas deszcz ani wiatr, nie zniechęciły niewygody spania w namiocie. Nie powstrzymały bólące stawy ani odciski, ale siostry zakonne opiekujące się schroniskiem w Sienie załatwiają nas w 15 minut. Cytrynowką, znaną tu pod nazwą limoncello. Własna produkcja, trzymana w ogromnych szklanych baniakach. Żeby przypadkiem nie zabrakło. Po kilku kolejkach, bo przecież musimy dotrzymać im towarzystwa, leżymy już pod stołem. Siostry jakby nigdy nic wracają do swoich codziennych obowiązków. Dopiero trzy godziny błogiego snu sprawiają, że jesteśmy w stanie się podnieść i pospacerować po tym pięknym tokańskim mieście.

Ciemnoczerwony odcień cegieł i dachówek dominuje w całym historycznym centrum. Wyróżnia się tylko katedra, którą miłośnicy nazywają arcydziełem architektury średnio-wiecznej, a przeciwnicy – lukrowanym tortem. Najbardziej przyciąga nas jednak Piazza del Campo – główny plac miasta. To tu dwa razy do roku odbywa się słynne Palio, czyli wyścigi konne po torze przygotowanym wokół placu.

Wracamy do siostr i poznajemy tam Juliana. Niemca, który będzie nam towarzyszył przez resztę trasy. Nie zostało jej już jednak zbyt wiele. Walcząc z wysokimi temperaturami, coraz bardziej zbliżamy się do Rzymu. Kilka dni przed osiągnięciem celu docieramy do Viterbo. Miasto słynie z bogatej historii i licznych zabytków, związanych zwłaszcza z odwiedzającymi to miejsce kardynałami i papieżami. Duchowni wiedzieli, co dobre. W Viterbo można kąpać się w gorących źródłach. Nie stać nas na drodze baseny, ale tuż przy trasie Francigeny znajduje się niewielka, znana głównie mieszkańcom „sadzawka” z wodą termalną. Wraz z relaksującymi się Włochami spędzamy tam długie godziny.

Wzmocnieni kąpielami i świadomością bliskości Wiecznego Miasta, idziemy do Rzymu jak na skrzydłach. Ostatniego dnia nie przeszkadzają nam nawet spaliny z ciągnących się sznurów samochodów na drogach dojazdowych do metropolii. Wreszcie zostawiamy główną ulicę i wspinamy się na zalesione wzgórze. Nagle, zupełnie niespodziewanie, dostrzegamy rozpościerającą się przed nami panoramę Rzymu. Rozpoznajemy wszystkie



## ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

R E K L A M A

znane nam ze zdjęć budowle. Wielka kopia bazyliki św. Piotra wydaje się na wyciągnięcie ręki. Dużo dalej Koloseum i pomnik Wiktora Emmanuela II.

Coś ściska nas za gardło. Zbiegamy w stronę bazyliki i zastanawiamy się, jak to możliwe, że dotarliśmy tu aż z Canterbury. Leciemy przed siebie, zapominając o tym, że na czerwonych światłach dla pieszych wypadłoby się zatrzymać. Zdyszani wbiegamy na plac św. Piotra.

Jesteśmy. To już koniec drogi. Przed oczami przesuwają nam się wspomnienia z całej trasy. 2100 km za nami, ale nie przychodzą nam do głowy żadne wnioski podsumowania. Jesteśmy, po prostu jesteśmy. Plac jest pełen ludzi, ale my czujemy się na nim sami. Trwamy, szczęśliwi. Było warto. ○



**Daria Urban-Kostyk  
i Wojciech Kostyk**

Ich ulubiona forma podróżowania to przemierzanie świata na własnych nogach. Na pieszym, podróżniczym liczniku każde ma już ponad 8 tys. km. Więcej wspomnień ze szlaku można znaleźć w ich książce „Via Francigena. Z Canterbury do Rzymu” i na stronie [www.peregrinos.pl](http://www.peregrinos.pl)



# PURA VIDA, SAMO ŻYCIE

**Małgorzata Drewniak**

Costa Rica to po hiszpańsku bogate wybrzeże. Nazwę tę miał nadać Krzysztof Kolumb, który odkrył te tereny podczas czwartej wyprawy na nieznane lądy. Zauroczyły go zróżnicowane krajobrazy oraz piękno przyrody. Miał również nadzieję na znalezienie złota, ale Indianie nie wyjawili mu tajemnicy pochodzenia kruszcu, z którego powstawały ich wspaniałe naszyjniki.



FOT. J. MALCZEWSKA / ARRYVIAK



### SKĄPANI W ZŁOCIE

Playa del Coco, czyli Plaża Kokosowa, już samą nazwą wiele obiecuje. To raj dla amatorów odpoczynku, sportów wodnych, fotografii i nie tylko.

**W**spółczesnych wielbicieli odpoczynku na łonie natury i pasjonatów przyrody Kostaryka z całą pewnością nie zawiedzie. Ponad 500 tys. gatunków przyrodniczych zamieszkujących ten mały kraj stanowi prawie 4 proc. wszystkich gatunków na ziemi.

Ze względu na bogactwo krajobrazów, stref klimatycznych i niezliczoną mnogość atrakcji potrzeba wielu tygodni na poznanie tego kraju. Jest jednak parę punktów, które zaliczyłabym do obowiązkowych.

### PŁONĄCY PACYFIK

Stolica Kostaryki San José lata świetności ma za sobą. Z końcem XIX w. miasto przeżyło gwałtowny rozwój i dzięki zyskom z eksportu kawy było jednym z pierwszych na świecie, w którym pojawiła się elektryczność, telefony publiczne oraz bezpłatne i obowiązkowe szkolnictwo.

Obecnie San José oprócz kilku dobrych muzeów i teatru narodowego ma niewiele do zaoferowania i mimo niezaprzeczalnego uroku dzień lub dwa na zwiedzanie zupełnie wystarczą. Miasto przywitało mnie zresztą wyjątkowo chłodno jak na tę porę roku, więc uciekam w kierunku ciepłych plaż Oceanu Spokojnego w prowincji Puntarenas. Środkowe wybrzeże Pacyfiku to najpopularniejszy region wypoczynkowy dla przyjezdnych i Kostarykańczyków. Jest malownicze oraz łatwo dostępne – wystarczy parę godzin jazdy ze stolicy.

Moją pierwszą przystanią na trasie jest mała miejscowość Tárcoles. Rzeka o tej samej nazwie jest znana z olbrzymich krokodyli amerykańskich, ale wioska jest bardzo spokojna i mało kto o niej słyszał. Żyje tutaj społeczność rybaków, którzy próbują także sił w turystyce.



FOT. MALGORZATA DREWNAK

Na plaży poznaję sympatycznego Toma, który wraz z żoną działa w miejscowej społeczności Comunidad de Tárcoles. Nie ma problemu, mogę zatrzymać się u nich na noc. Po raz pierwszy w życiu spoglądam na wody Pacyfiku. Na oceanie kołyszają się dziesiątki łódek i stateczków, a tuż przed zachodem słońca powracają wędkarze. Na łódkach gromadzą się stada mew i pelikanów. Nad ranem następuje kontynuacja tego niezwykłego spektaklu, gdy rybacy wracają z całonocnych połowów, prezentują co bardziej okazałe zdobycze, a ptaki wirują nad ich głowami w nadziei na łatwy posiłek.

Ja również zaczynam myśleć o jedzeniu. Wszystko wskazuje na to, że jestem w odpowiednim miejscu i o odpowiednim czasie. W maleńkiej wiosce jest parę restauracji serwujących ryby i owoce morza prosto z oceanu. Zasiadam w skromnym lokalu, aby skusić się na najlepszą langustę pod słońcem. Zachwyca mnie to miejsce, ale czas ruszać dalej.

Przejeżdżam autokarem do Jacó, a następnie do Parku Narodowego Manuel Antonio. Pierwsza okazja na spotkanie z dziką kostarykańską przyrodą kończy się jednak rozczarowaniem. Gdy widzę kolejkę czekających na

wejście do parku i słyszę komunikat, że dozwolona liczba turystów została przekroczona i trzeba czekać do dwóch godzin na możliwość wejścia, rezygnuję z przebywania na łonie natury wśród tłumów.

Uciekam na sąsiadującą z parkiem *playa publica*, gdzie w cieniu palm pijam sok z papai i przyglądam się surferom, paralom, iguanom oraz małpom w koronach drzew. Co jakiś czas podchodzą miejscowi sprzedawcy i oferują *pipa fria*, czyli zimne mleczko kokosowe z orzecha rozłupywanego przy plażowiczach. W takich okolicznościach przyrody nie pozostaje nic innego, jak czekać na jeden z najpiękniejszych, jak mówią, zachodów słońca na świecie. I trzeba przyznać, że czekać warto.

Tarcza słoneczna chowa się za horyzontem i najpierw oświetla bujne czupryny palm, które stają się jeszcze bardziej zielone, a pełne obłoków niebo jest aż nadmiernie przesycone błękitem. Po chwili kolory są już bajkowe, a okoliczne wyspy wydają się płonąć. Ludzie wychodzą z wody, siadają i w milczeniu chłoną ten ulotny moment. Szkoda, że tak szybko przemija...

#### **ARA, A GDZIE PARA?**

**Widok ar przelatujących parami o zachodzie słońca na wieczorny odpoczynek to wizytówka Kostaryki jako ostoisk dzikiej przyrody.**

## WYBUCHOWE SPOTKANIA

Na Kostaryce jest dziewięć czynnych wulkanów oraz ok. 200, które są uznane za wygasłe lub pozostają w fazie uspionej. Najbardziej popularny i najbardziej aktywny Arenal przyciąga do miejscowości La Fortuna tłumy przyjezdnych, którzy zazwyczaj podziwiają charakterystyczny, prawie idealny stożek, przesiadując w źródłach termalnych podgrzewanych energią wulkanu.

Mnie natomiast zachęcił wulkan Poás, jeden z najbardziej spektakularnych aktywnych wulkanów na kontynencie. Jego krater, o średnicy 1,5 km, jest zaliczany do największych na świecie. Jest to również łatwo dostępna atrakcja – autobus z San José odjeżdża codziennie i dociera do samego parku narodowego.

Półgodzinny trekking po wyasfaltowanej ścieżce przebiegającej przez las deszczowy kończy się przy barierkach, z których powinien roztaczać się widok na olbrzymi krater. Jednak ze względu na panujący w parku mikroklimat zazwyczaj tuż za barierką roztacza się gęsta, nieprzenikniona mgła. Pierwsze podejście może rozczarować: „Czy ja właśnie zapłaciłam 16 dolarów, żeby zobaczyć mgłę?”

Tabliczka mówi, że przy zboczach krateru nie można przebywać dłużej niż 20 minut ze względu na trujące gazy siarkowe wydobywające się z głębi wulkanu. Patrzę na zegarek, a następnie wytyżam wzrok w szarą przestrzeń przede mną, próbując dostrzec choćby zarys krateru... Nic. Po 10 minutach znowu nic, ale ćwiczę cierpliwość... 15 minut. Kolejny podmuch wiatru, chmury rozstępują się, wychodzi słońce i nagle dostrzegam Poás. Księżycowy krajobraz wyłania się z mgieł, na miejscu których pojawia się wulkaniczny dym niesiony porywami wiatru, a w samym środku – tafła szmaragdowego jeziora. – *Z wulkanami tak już jest* – mówi zaprzyjaźniony Tico. – *To ty musisz na niego czekać, nie odwrotnie. W zeszłym roku Poás wybuchł na oczach turystów. To dopiero musiała być frajda!*

## ŻYCIE NA OSIE

Półwysep Osa jest najbardziej oddalonym od stolicy oraz jednym z najbardziej dzikich obszarów kraju. Ośmiogodzinną podróż



FOT. MALGORZATA DREWNIAK

z San José do Puerto Jiménez umilają widoki, które zmieniają się jak w kalejdoskopie. Malownicze pagórki ustępują miejsca lasom chmurowym, następnie lasom deszczowym, nizinnym polom uprawnym, plantacjom bananów i ananasów, aż w końcu wysokie palmy kokosowe otwierają bramę na półwysep. Klimat również zmienia się z wietrznego i chłodnego na coraz bardziej umiarkowany, aż wreszcie – gorący.

## CZARUJE, ALE TRUJE

Poas to jeden z najbardziej aktywnych i najłatwiej dostępnych wulkanów w kraju. Ze względu na trujące wyziewy nie można podziwiać go zbyt długo.



Puerto Jiménez, małe, przyjazne miasteczko oraz najważniejszy port na półwyspie, wita przyjezdnych podmuchem ciepłego powietrza. Mimo niewątpliwego uroku tego miejsca większość turystów znajduje się tutaj przejazdem i z jednego powodu – to brama do Parku Narodowego Corcovado.

Corcovado nosi tytuł najbardziej „intensywnego” biologicznie obszaru na ziemi. Prawie 30 różnych ekosystemów, 400 gatunków

ptaków, 140 ssaków (w tym 50 samych nietoperzy), 10 tys. gatunków insektów, 117 gadów i płazów, 700 drzew, 2500 roślin. Zwiedzającym został udostępniony niespełna 1 proc. parku. Resztę stanowi nieprzeniknione królestwo roślin i zwierząt, wiele z nich endemicznych, część zagrożonych wyginięciem (np. jaguar, tapir, pekari). Aby tutaj dotrzeć, trzeba się sporo natrudzić. Obowiązkowo z przewodnikiem.

Wybieram trasę La Leona – Sirena, jedną z kilku dostępnych, i dołączam do dwóch wesołych Argentynek na dwudniowy trekking. Z samego rana wyruszamy w 2,5-godzinną podróż z Puerto Jiménez do Carate. Naszym środkiem transportu jest *collectivo*, czyli zbior-

Przez pierwsze kilka kilometrów przewodnik narzuca intensywne tempo. – *Nie robię wam tego na złość, moje drogie. Mamy silny przypływ i jeśli nie przekroczymy pewnego punktu w ciągu trzech godzin, ocean zamknie nam drogę i nigdzie już nie dojdziemy* – tłumaczy. Ścieżka



FOT. MALGORZATA DREWNAK

**W JEDNEJ SIECI**

Rybak z Tárcoles prezentuje zarzucanie sieci. Rybacka społeczność jest bardzo zżyta ze sobą i otaczającą ich przyrodą.

rowa taksówka w formie ciężarówka z przyczepą, w której trzęsie niemilosiernie.

Z Carate do wrót parku należy przejść 3 km. Trasa prowadzi piaszczystą plażą, ale upał zaczyna doskwierać, a buty trekkingowe nie służą wycieczkom plażowym. Witamy więc z radością stację La Leona, gdyż konieczność wpisu do książki meldunkowej pozwala na odpoczynek. Przed nami główna część programu, czyli 17-kilometrowy przemarsz do stacji Sirena, głównego obozowiska. Trasa jest prosta i malownicza, ale trzeba się liczyć z całodziennym wysiłkiem.



**MA NOSA**

Ostronos białonosy na plaży Parku Narodowego Corcovado szuka małych bezkręgowców, owoców lub jaj.

FOT. MALGORZATA DREWNAK

z piaszczystej plaży wkracza do gaju palmowego, a następnie do pełnego soczystej zieleni tropikalnego lasu deszczowego.

Na ścieżce pojawiają się pierwsi mieszkańcy Corcovado – kapucynki, stado pekari, mrówkojad i wielkie kraby. My jednak pędzimy, aby zdążyć przed oceanem. Po prawie trzech godzinach udaje nam się przekroczyć strategiczny punkt i wreszcie oddychamy z ulgą. Jest czas na krótką kąpiel oraz mleczko prosto z kokosa, którego w ramach nagrody rozłupuje przewodnik. Nie możemy się jednak rozleniwiać, ponieważ przed nami



jeszcze długa droga, którą trzeba przebyć przed zmierzchem.

Wchodzimy w coraz bardziej soczystą zieleni lasu i przyglądamy się niezwykłym formacjom drzew i setkom roślin, które zdomowały się w ich rozległych konarach. Przewodnik

zobaczyć? Leniwca, boa, rekina, a może i pumę albo jaguara?

Na drugi dzień wczesna pobudka i wymarsz o 4 rano, gdy jest jeszcze ciemno. Tuż przed Sireną grupka ludzi namierzyła tapira, który wyszedł na polanę w poszukiwaniu je-



przedstawia właściwości niektórych z nich i ostrzega jedną z koleżanek, aby przed spróbowaniem czegokolwiek następnym razem pytała go o zdanie. – *Uważajcie, tam jest wąż, bardzo jadowity!* – Wskazuje na małe zawiniątko tuż przy ścieżce.

Po ośmiu godzinach marszu docieramy na leśną polanę, na której znajduje się nasza noclegownia – stacja badawcza La Sirena. Przed nią – kolekcja butów trekkingowych oraz inni zmęczeni wędrowcy. Po przygotowaniu miejsca do spania i zjedzeniu posiłku jest czas na wymianę doświadczeń. – *Co udało wam się*

dzienia. Przewodnik napomina, aby nie zbaczać z trasy, Corcovado jest rajem dla węży, które w większości prowadzą nocny tryb życia. Wiele gatunków jest bardzo jadowitych, a w tych warunkach można nie zdążyć z podaniem surowicy. – *Pamiętacie wczoraj tego przy ścieżce? Teraz nie byłbym go w stanie zauważyć.*

Cieszę się, gdy wychodzimy na plażę, ale tutaj czeka kolejna atrakcja – przekroczenie rzeki. Woda sięga prawie do ud, trzeba zdjąć obuwie i przejść 10 m na drugi brzeg. Latarka lustruje wodę. – *O, tam jest krokodyl, w sumie nieduży... Czekaście chwilę... ok, możemy*

## SPOKOJNIEJ NIŻ NAD SPOKOJNYM

Życie na wybrzeżu karaibskim toczy się jeszcze spokojniej niż nad Oceanem Spokojnym. W miejscowości Cahuita mieszkańcy rozpoczynają dzień od czynnego odpoczynku, np. konnej przejażdżki.



FOT. MALGORZATA DREWNAK



FOT. MALGORZATA DREWNAK

### A TO ŻMIJA

Zararaka rogata z gatunku żmijowatych ma mocno toksyczny jad. Poluje na ptaki, potrafi je złapać nawet w locie. Tu w Parku Narodowym Cahuita na wybrzeżu Morza Karaibskiego.

Nawet w najbardziej intensywnym biologicznie miejscu na świecie trzeba nauczyć się patrzeć, aby zobaczyć. Pod liśćmi, konarami, kamyczkami toczy się zręcznie zakamuflowane życie. Podobno zobaczenie 10 gatunków zwierząt w ciągu dwóch dni to już sukces. Mogę więc zaliczyć moją przygodę z Corcovado za wyjątkowo udaną i po przebyciu kolejnych 20 km położyć się z czystym sumieniem na pierwszym napotkanym hamaku.

### ZAMIAST PARAWANINGU

**Trekking na plaży w poszukiwaniu śladów bujnego życia. Aby zobaczyć choć niewielką część z kilkuset tysięcy gatunków flory i fauny zamieszkujących te tereny, trzeba się natrudzić.**

*przechodzić.* Zakładam, że przewodnik wie, co robi, i podążam za nim z nadzieją, że nie będę pierwszą ofiarą krokodyla w Corcovado.

Idąc wzdłuż plaży i obserwując niesamowity wschód słońca, czuję, że jestem świadkiem czegoś wyjątkowego. Podążam wzrokiem za arami czerwonymi, które przelatują parami w poszukiwaniu schronienia na przybrzeżnych drzewach. Tuż nad taflą oceanu leci stado pelikanów, tworząc harmonijną linię równoległą z horyzontem. Na drzewach pokrytych lianami skaczą kapucynki.

Cała plaża ożywa, rusza się i przeistacza z każdą sekundą – to miliony skorupiaków biegają we wszystkich kierunkach. Z lasu wychodzi ostronos białonosi z rodziny szopowatych, nie przejmując się naszą obecnością i lustruje plażę w poszukiwaniu łakomych kąsków: małych bezkręgowców, owoców lub jaj. – *O, patrzcie, Jezus!* – Bazyliszek, czyli jaszczurka jezusowa, znana z umiejętności biegania po wodzie w momencie zagrożenia, pojawia się w strumieniu.

### BYĆ JAK TICO

Większość Kostarykańczyków ma hiszpańskie korzenie, ale są również rodowici Indianie, *Chinos* – potomkowie kontraktowych pracowników z Chin oraz ciemnoskórzy mieszkańcy wybrzeża Atlantyku, których przodkowie przybyli przed wiekami z Jamajki, aby polować na żółwie.

Wszyscy ogółem są powszechnie znani jako *Ticos* i sami najczęściej tak o sobie mówią. Wynika to ze zwyczaju używania przez Kostarykańczyków zdrobnień w hiszpańskim, czyli dodawania przyrostka *tico*, gdzie to tylko możliwe.

Kolejną frazą wartą zapamiętania jest *pura vida* („samo życie”). – *Jak się masz?* Pura vida, *dzień dobry.* Pura vida, *dziękuję, do zobaczenia.* *Ależ nie ma za co.* Pura vida! – słychać na każdym kroku. Dość przydatne wyrażenie, które można stosować do wszystkiego. Nie są to tylko słowa. *Pura vida* to kultura, styl życia, światopogląd. Znaczy tyle, że życie jest piękne i należy doceniać w nim to, co dobre.

*Ticos* znają wiele sposobów na uprzyjemnianie sobie codzienności. Dzień rozpoczynają od tradycyjnego *gallo pinto* – ryżu z czarną fasolą, przyprawami, jajecznicą i bananem opiekany na patelni. Obowiązkowa jest również filiżanka kawy, którą piją średnio od trzeciego roku życia i nie rozumieją, że można inaczej. Po śniadaniu trzeba iść do pracy, ale wieczorem znów czas na drobne przyjemności. *Ticos* dużo się śmieją, tańczą, weselą w gronie przyjaciół i rodziny.

Podobno to najszczęśliwsi ludzie na naszej planecie, ale gdy pytam o komentarz w tej sprawie, kwitują tajemniczym uśmiechem. *Pura vida* może dla niektórych oznaczać *dura vida* („ciężkie życie”). Ceny są średnio 2–3 razy wyższe niż w Polsce, a zarobki niższe. Nawet dla turystów to drogi kraj. Jednak poziom życia na Kostaryce jest najwyższy w Ameryce Centralnej i *Ticos* są tego świadomi, dumni ze swego kraju.

Kwintesencją są słowa Toma wypowiedziane w urokliwym Tárcoles podczas pogawędki o pogodzie: – *Margarita, nawet mi nie mów! Nie dość, że mróz, to jeszcze ciemno o 4 po południu? O nie, za żadne skarby! Wiesz, przyjeżdżają tu Amerykanie i Europejczycy, płacą ciężkie pieniądze za to, żeby wygrzać się na słońcu i poleżeć na hamaku. Ja to wszystko mam na okrągło, za darmo. I powiem ci, Margarita, że wolę być biedny, niż męczyć się jak wy przez te wszystkie miesiące w tych zimnych krajach!* ○



- PREZENTACJE PODRÓŻNICZE - FILMY ŚWIATA  
 - WYCIECZKI - RAJDY - DEGUSTACJE - POTRAWY  
 - KONCERTY - WARSZTATY - WYSTAWY - BAL

WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ DO GRYFINA

[www.wloczykij.com](http://www.wloczykij.com)

R E K L A M A



### Małgorzata Drewniak

Zawodowo analityk systemowy, z zamiłowania eksploratorka, dziennikarka, fotograf. Zakochana w Afryce, Ameryce Łacińskiej i Azji. Najchętniej wyjeżdża na łono natury. Jej artykuły i zdjęcia ukazały się w ogólnopolskich i międzynarodowych magazynach podróżniczych, zamieszcza je także na blogu [myhappytea.wordpress.com](http://myhappytea.wordpress.com).



FOT. ELŻBIETA I PIOTR HAJDUK

Elżbieta i Piotr Hajduk

# SHIKULU ZNACZY MĘDRZEC

Wstążka szosy przecina nagą, spaloną słońcem ziemię. Suchy busz rozciąga się po obydwu stronach drogi. Gdzieś tam, w kępach bananowców i pióropuszcach palm, kryją się ludzkie siedziby – chatki oblepione wyschniętą gliną lub zabudowania o płaskich dachach pokrytych blachą. Tu, w Zambii, jest bardzo biednie.



### KOZI GRÓD

Jednym z największych bogactw Zambijczyków są kozy. Drewniane palisady mają chronić przed atakami drapieżników nie tylko ludzi, ale i te zwierzęta.

**M**ieszkańcy wioski żyją z hodowli kóz, uprawy kukurydzy i innych warzyw. Zbiory zależą od pory deszczowej, a głód zdarza się często, bo deszczu albo za mało, albo za dużo. Czasem też zaraza, a czasem i słonie niszczą ubogie zasiewy.

Po piaszczystym poboczu wędrują kobiety w kolorowych chustach i barwnych spódnicach. Na głowach dźwigają plastikowe pojemniki z wodą lub wiązki drewna na opał. Przystojni mężczyźni, o twarzach czarnych jak smoła, śledzą wzrokiem ruch na drodze. Dzieci biegną za samochodami, nie zważając na tumany suchego piasku.





FOT. ELZBETA I PIOTR HAJDUK

### BIEDA Z RONDLEM

W ubogich zambijskich obojściach nie ma zbyt wielu sprzętów. Czasami jedna łyżka i stary rondel to bogactwo, które gospodynie cenią bardziej niż klejnoty. Po posiłku naczynia są starannie myte w pobliskiej rzece, do której trzeba niekiedy podejść kawałek drogi.

### NIE MA CZASU NA SMUTEK

Ojciec Józef Gotter czeka na nas przy wjeździe do Kazembe. To największa wioska w Zambii. Tu znajduje się misja, w której polscy salezjanie pomagają miejscowej ludności. Misjonarz jest dobrym duchem placówki. Dla nas jest wujkiem, a dla ponad setki ciemnoskórych podopiecznych – prawdziwym ojcem. Już z daleka widzimy jego wysoką sylwetkę i białą brodę. Postarzał się od czasu ostatniej wizyty w Polsce. Tylko oczy pozostały wesołe. Udajemy, że nie widzimy zmian w jego wyglądzie. Na pytania przyjdzie czas później.

– *Witajcie w mojej Afryce* – jego tubalny głos brzmi sympatycznie. – *Pospieszmy się. W misji czeka obiad. Musicie posmakować tu-tejszej kuchni.* Ośmiokątna bryła kościoła jest pokryta zieloną blachą falistą. Jak na zambijskie warunki wygląda wyjątkowo porządnie. Przed świątynią biegają dzieci, robią wesoło harmider. – *To dzieciaki z naszego oratorium* – wyjaśnia misjonarz. – *Zajmujemy się nimi, jak możemy.*

W Kazembe żyje kilkanaście tysięcy ludzi, sporo z nich głoduje. Wielodzietne, ubogie rodziny nie zawsze stać na jedzenie. Dzieci przychodzą więc do parafii. Proszą nie tylko o chleb, czasem łakną zwyczajnej uwagi i troski, poczucia, że komuś na nich zależy. Wiele z nich to sieroty lub półsieroty, bo w Zambii AIDS zbiera obfite żniwo.

Niektóre spotyka prawdziwe szczęście, jeśli w ramach akcji „Adopcja na odległość” otrzymują pieniądze od przybranych rodziców z Europy. Dzięki nim mogą się uczyć, bo szkoła kosztuje. Ojciec Józef opiekuje się ponad setką dzieci. Dla wszystkich ma także serdeczny uśmiech i dobre słowo.

Od grupy rówieśników odrywa się kilkuletni chłopiec i biegnie w naszą stronę. – *To Nathan* – wyjaśnia kapłan z ciepłym uśmiechem. – *Bardzo zdolne dziecko. Staramy się wspomagać jego edukację, bo nauka przychodzi mu bez trudu.*

– *To chyba dobrze.* – Nie rozumiemy nutki smutku w głosie misjonarza.



FOT. ELZBETA PIOTR-HADUK

– Nathan jest sierotą, jego rodzice zmarli niedawno – wyjaśnia, nie patrząc nam w oczy. – Jak wiele tutejszych dzieci jest nosicielami wirusa HIV.

– Jak sobie z tym radzisz?

– Tutaj nie ma czasu na smutek. – Ksiądz znowu się uśmiecha. – Dużo modłę się za nich wszystkich i o siły dla siebie. Bóg jest miłosierny, z HIV też można żyć. Mamy takie przysłowia: „Myslałem, że jestem biedny, bo chodzę bez butów. Dopóki nie spotkałem człowieka bez stóp”.

– A inne dzieci? – pytamy. – Wszystkie są sierotami?

– Ależ nie. O! To Catherine. – Wskazuje na kilkuletnią dziewczynkę, której czarne kręcone włosy są zaplecione w kunsztowne warkoczki, a radosny uśmiech odsłania białe ostre ząbki. Trochę przypomina małą myszkę. – Ma siedmioro rodzeństwa. Mieszkają z rodzicami w niewielkim domku bliżej rzeki. Widzieliście tutejsze... hmm... domki?

– Widzieliśmy po drodze, ale w środku nie byliśmy.

– To małe pomieszczenia, prostokątne albo w kształcie koła, oblepione mułem, z dachem zrobionym z trawy. Aby nie przeciekał, trawę trzeba wymieniać co roku. Oczywiście nie ma prądu czy bieżącej wody. Śpią tam na podłodze, na słomianych matach. Rodzina, która ma koce, jest uważana za bogatą. Dom służy tylko do spania. Jedzenie spożywa się publicznie, przed domami lub na placach.

## SZYBKE DORASTANIE

Nikt ich nie pilnuje. Wczesna samodzielność zambijskich dzieci to swoista szkoła przetrwania. Tutaj nawet dwulatki muszą same zadbać o siebie.

## GORĄCA MISKA CZEGOŚ

Żyją z uprawy poletek. No i z ryb. Tutejsze rzeki na szczęście są w nie zasobne, np. Luapula, która jest naturalną granicą między Zambią a Demokratyczną Republiką Kongo.

– Tam, gdzie znajduje się woda, zamieszkuje ludzie. Woda, nieważne – czysta czy brudna, służy do wszystkiego. Do prania, mycia i picia. Piją ją wprost po zaczerpnięciu, nikt nie myśli o gotowaniu.

– I nic im nie jest?

– Właściwie nie. No, ale dosyć gadania, chodźcie na obiad – zaprasza ojciec.

Na drewnianym stole widzimy gorącą miskę... czegoś. Ksiądz uśmiecha się radośnie. – Znacie tę potrawę? To nsima. Jemy ją tutaj często. Na zmianę z kassawą. Nsima to ugotowana w wodzie mąka z ziaren kukurydzy. Ubogie rodziny jedzą ją bez dodatków albo z różnymi jadalnymi liśćmi, ale lepsza jest z fasolą, rybą, mięsem, sosami. Tradycyjnie w formie gęstej klajstrowatej papki spożywa się ją bez użycia sztućców.

– Wiecie, jak się ją gotuje? – pyta misjonarz pomiędzy kęsami. – Wymaga to sporej siły i wprawy. Trzeba uważać, by z mąki nie zrobiły się grudki. Tutaj każda kobieta musi umieć gotować nsimę. Dziewczynki uczą się tej sztuki od najmłodszych lat.

Patrzemy na nasz posiłek uważniej – rzeczywiście, nasza nsima jest gładka jak krem. – Jak kiedyś przyjedziecie w porze deszczowej, dam wam spróbować innych specjalów. Na przykład podsmażanych termitów. Są bardzo dobre – dodaje ojciec Józef i cieszy się z naszego zaskoczenia.

Na kolację ma być kassawa, która jest popularna nie tylko w Afryce. Maniok jadalny,



FOT. KATARZYNA HAŁDUK

### GŁOWA NIE OD PARADY

Takie noszenie rozmaitych ciężarów to codzienność, a kobiet tutaj nikt w tym nie wyręcza.

z którego pozyskuje się *kassawę*, to roślina uprawiana w całej strefie tropikalnej – od Ameryki, przez Azję po Afrykę na południe od Sahary. Częścią użytkową są bulwy korzeniowe, które w stanie surowym nie są jadalne. Ich trujące właściwości giną jednak po ugotowaniu, upieczeniu lub wysuszeniu. Ze zmieszanych lub startych bulw otrzymuje

się masę, która po wysuszeniu i prażeniu jest mielona. Powstająca w ten sposób mąka to właśnie *kassawa*.

Ojciec prowadzi nas w kierunku niskiego długiego budynku. To duma misjonarzy – Stolarska Szkoła Zawodowa im. Księdza Bosko. Przy niej znajduje się też internat dla młodzieży męskiej z najuboższych rodzin. Jest warsztat pełen desek, gdzie chłopcy wytwarzają meble.

W warsztacie krząta się kilku chłopaków. – *Traktują szkołę jak dom, sami sprzątają, dbają o otoczenie, gotują. Wszędzie ich pełno. A ja przynajmniej nie boję się tutaj włamań. Na misji mieliśmy dwa napady. Trochę mnie pokiereszowali...*

– *Napady!? A nie pomyślałeś o jakiejś ochronie?* – pytamy. Misjonarz patrzy na nas jak na duże dzieci: – *Tu jest Afryka, nie zapominajcie o tym. Słyszałem, że jeden z miejscowych kapłanów postanowił zrobić porządek ze złodziejskimi wizytami w ogrodzie. W tym celu zastawił pułapkę. Powbił w deski gwoździe, a potem poukładał je pod murem ostrzami do góry. Liczył, że zaskoczy złodzieja.* – Misjonarz uśmiecha się zagadkowo.

– *I co?*

– *Ano nic. Noc minęła spokojnie. A rano okazało się, że ktoś ukradł te deski, razem z gwoździami.*

Chłopcy traktują ojca jak swojego mistrza. Nazywają go *Shikulu*, co w miejscowym języku znaczy „mędrzec”. Od nich to przezwisko przejęli starsi, i tak w Kazembe ojciec Józef został Mędrzem. Tylko najmłodsze dzieci wołają za nim *BaGota*, czyli po prostu „ksiądz Gotter”.

## OSKUBANI NA WŁASNE ŻYCZENIE

– *Mamy trochę upominków dla dzieci, artykuły szkolne, ubrania. Możemy do nich pójść?* – pytamy ojca.

– *Idźcie, gdzie chcecie. Ja muszę się przygotować do mszy.*

Kazembe to spora miejscowość. Turyści rzadko tu docierają, czasem tylko przyjedzie jakiś nowy wolontariusz. Misjonarze wtopili się w miejscową społeczność i czują się jak w domu. Tak też są traktowani. My jesteśmy nowi, więc szybko otacza nas gromada



małolatów. Te młodsze stoją nieśmiało na uboczu, starsze dotykają naszych rąk, ciągną za ubrania, zagadują zabawną mieszaniną angielskiego i miejscowego języka:

- *Mister, give me a pen!*
- *For me, for me, mister!*
- *Miss, T-shirt, T-shirt!*

Każdy biały to bogacz, którego należy oskubać. Najlepiej – zanim zrobią to inni. Cóż, pozwalamy się „oskubywać”, rozdajemy długopisy, ołówki, koszulki. To prawdziwe skarby, więc gromada dzieci szybko rośnie. Nieliczni dorośli przechodzą obojętnie. Czasem tylko ktoś się zatrzyma, prześle przelotny uśmiech i idzie dalej.

Wreszcie koniec! Na uboczu stoi jeszcze niewielka grupa chłopców z koszulkami i zeszytami w rękach. Wyciągamy aparaty, aby jakoś uwiecznić tę chwilę. Chłopaki momentalnie się ożywiają: – *Foto? Hundred kwacha! Hundred kwacha!!! Kwacha* to miejscowa waluta. Przedsiębiorczości to można by się od nich uczyć.

Zapada noc. Na rozgwieżdżonym niebie lśni Krzyż Południa, drogowskaz żeglarzy południowych mórz. Cichną odgłosy codziennej krzątaniiny, Kazembe szykuje się do snu.

O poranku radosne słońce zalewa świat. W powietrzu unosi się słodki zapach kwiatów. Wzrok biegnie daleko, po wzgórza widoczne na horyzoncie. Rozległe przestrzenie dają poczucie wolności i niezależności. Zewsząd małe grupki ludzi zmierzają w kierunku kościoła na niedzielną mszę.

## MSZA JAK BARWNE WIDOWISKO

Kościół jest dość nowy, konsekrowany w 2004 r. Poprzedni nie sprostał rosnącym potrzebom. Przestronne wnętrze szybko zapełnia się ludźmi ubranymi odświętnie. Zwracają uwagę kolorowe kobiece chusty, zwane *czitenge*. To wzorzysty materiał o wymiarach metr na dwa. Służy do wszystkiego. Niektóre kobiety opasują się nim wokół bioder, aż powstaje coś na kształt długiej spódnicy. Inne zakładają go na ramię. Mamy wkładają w *czitenge* małe dzieci i noszą je na plecach. Wszystkie wyglądają jak egzotyczne ptaki.

Msza rozpoczyna się uroczystym wejściem kapłana przy wtórze głośniego śpiewu



### Z OJCEM I MĘDRCEM

Ksiądz Józef Gotter ze swoimi podopiecznymi z misji w Kazembe.



## RYBA NA CZARNĄ GODZINĘ

Wody afrykańskich rzek są jeszcze zasobne w ryby. Suszone na słońcu, stają się zapasami, które w trudnych chwilach odganiają z ubogich chat widmo głodu.

wiernych. Ludzie reagują bardzo żywiłowo, zarówno w trakcie czytań, jak i kazania. W pewnej chwili wstają i tańczą. Wciąż dochodzą nowi wierni. Ktoś wtórnie śpiewom na bębnie. Inni towarzyszą im na grzechotkach. Czujemy się jak na barwnym widowisku. Nawet nie poczuliśmy, że msza trwała bite trzy godziny.

Kościół wyludnia się powoli, bo przed wejściem stoi ojciec Józef i żegna parafian. Wszystkich pozdrawia, z każdym rozmawia. Przydaje mu się doskonała znajomość miejscowego języka. W końcu wychodzimy i my. Na twarzy misjonarza jak zwykle gości uśmiech.

– *Podobało się? Trochę inaczej niż w Polsce, prawda?*

– *Całkiem inaczej i jakby prawdziwiej...*

Zadziwiła nas liczba wiernych. Nie wiedzieliśmy, że wielu stało też przed kościołem.

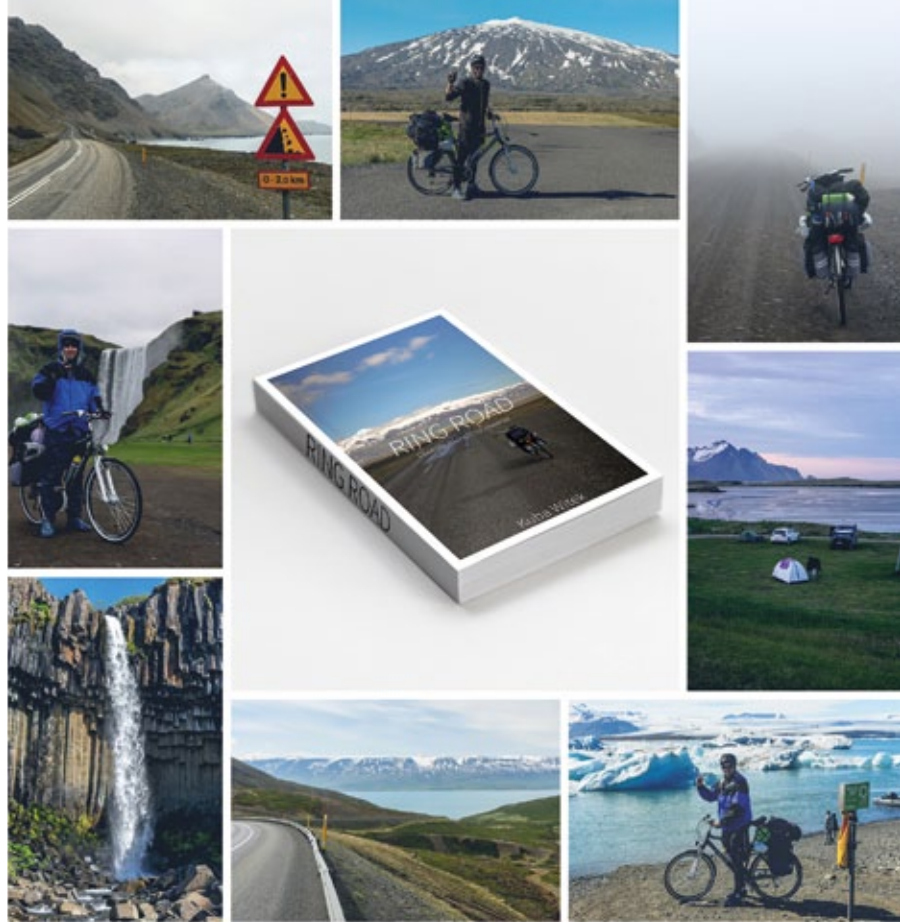
– *Nie wszyscy, którzy przyszli na mszę, to katolicy – mówi misjonarz. – Niedaleko znajdują się jeszcze kościoły Adwentystów Dnia Siódmego, protestancki, Świadców Jehowy. Do szkoły też przychodzą dzieci różnych wyznań. Nikt nikomu nie wypomina, że jest taki czy owaki. Ludzie są tolerancyjni, ciekawi świata i siebie. Dlatego potrafią modlić się wspólnie.*

Zambijczycy musieli nauczyć się tolerancji. Ten kraj, dwa i pół razy większy od Polski, zamieszkują ludzie mówiący ponad siedemdziesięcioma językami. Wychowani w różnych kulturach, wyznają różne religie, należą do sekt. Łączy ich poczucie przynależności narodowej, choć Zambia to stosunkowo młode państwo, niepodległość uzyskała 50 lat temu.

– *Dzisiaj niedziela, jadę do buszu odwiedzić kościoły filialne. – Ojciec Józef wyrывa nas z zamyslenia. Kapłani mają do odwiedzenia wiele stacji, rozsianych na obszarze kilkudziesięciu*



FOT. ELBIETA I PIOTR HAJDUK



1400 km krętych dróg, zmagania z pogodą, niesamowite miejsca, niespodziewane spotkania, 24 noce na czterech krańcach wyspy

**PRZECZYTAJ I SAM ODWIEDŹ ISLANDIĘ!**

Do kupienia na: [www.kubawitek.com](http://www.kubawitek.com)



R E K L A M A

kilometrów. To miejsca zgromadzeń wier-nych, którzy nie mogą dojechać do parafial-nej świątyni. Żałujemy, że nie możemy mu towarzyszyć. Obiecujemy sobie przyjechać tu jeszcze kiedyś. Książd wydaje się myśleć o tym samym:

– Kiedyś was tam zabiorę. Chciałbym po-każać kościółek, który udało mi się wybudować w Chisenge. To daleko. Wciąż się bałem, że miej-scowi czarownicy odzyskają tam swoje wpływy... Zambijski Kościół jest jeszcze bardzo młody. Brakuje misjonarzy. A kiedy ludzie nie mają się do kogo zwrócić, idą do czarownika. Czy wiecie, że tu wciąż jeszcze zwolnienie od szamana jest traktowane przez pracodawców równie poważ-nie jak zwolnienie od lekarza?

– Lubisz te wyjazdy? – pytamy jeszcze, choć właściwie z góry znamy odpowiedź.

– Lubię każdy kontakt z ludźmi. Ci w buszu nie mają właściwie nic. Mały okrągły domek,

żadnych mebli, garnek, mata ze słomy. Na środku pali się ognisko, dym gryzie w oczy. I ciężka pra-ca na skrawku pola. Ale jest w tym jakiś spokój. A po mszy miejscowi zapraszają mnie na obiad. Rozmawiam wtedy z mężczyznami, siedzimy razem w kręgu.

Po kilkudniowym pobycie żegnamy BaGota. Do Chisenge da się dojechać tylko teraz – później, w porze deszczowej, korytami dróg zaczynają płynąć rzeki. Gdy śledzimy z dala postawną sylwetkę ojca Józefa, nie zda-jemy sobie jednak sprawy, że widzimy go po raz ostatni...

Zmarł w Kazembe, wśród swoich. Przyję-ła go czerwona ziemia Afryki, którą ukochał. Pozostała po nim pamięć w ludzkich sercach i dwa ostatnie zdania napisane tuż przed śmiercią: „Wszystkie skarby należą do Zgro-madzenia. Moje są tylko grzechy i długi”. ○



**Elżbieta i Piotr Hajduk**

Ona historyk, humanista.  
On inżynier, umysł ścisły.  
Zjeździli razem pół globu.  
On w podróżach szuka mocnych  
wrażeń, ona – urody świata.  
I każde znajduje to, co lubi.

Tekst znajdzie się w książce „Dalej są tylko lwy”, która ukaże się w tym roku.

# GEOSKOP

OBEJRZANE  
PRZECZYTANE  
ZASŁYSZANE

## WIECZNIE MŁODZI

15 tys. zł jako jednorazowy dodatek do emerytury? Takie cuda tylko w Gdyni. Prezydent Wojciech Szczurek uznał, że Nagroda im. Andrzeja Zawady to za mało. Od 2017 r. o nagrodę Wiecznie Młodzi na realizację podróżniczych marzeń będą mogli się ubiegać również starsi uczestnicy Kolosów. Wzorem towarzyszącej imprezie od piętnastu lat Nagrody im. Andrzeja Zawady – przyznawanej na realizację najciekawszego w danym roku projektu podróżniczego zgłoszonego przez osoby, które nie przekroczyły trzydziestego piątego roku życia – prezydent Gdyni postanowił wspierać nagrodą również podróżników seniorów. Projekty wypraw mogą zgłaszać kandydaci, którzy ukończyli 65 lat. Kapituła będzie brała pod uwagę zarówno oryginalność i jakość projektu, na realizację którego kandydat zobowiązuje się przeznaczyć nagrodę, jak i wcześniejszy dorobek podróżniczy uczestników konkursu. Wybrani kandydaci zostaną poproszeni o wygłoszenie podczas Kolosów w Gdyni prelekcji o swoim największym dotychczasowym dokonaniu. Więcej na [kolosy.pl](http://kolosy.pl)



## PODRÓŻE MARZEŃ PO POLSCE

Jeśli wybierasz się w podróż marzeń po Polsce, możesz przenieść się w nieznanne miejsca i zobaczyć piękną przyrodę, wspaniałe miasta i ważne zabytki. W kolejnym albumie wydawnictwa Dragon z serii Imagine prezentowano ponad 200 takich wspaniałości. Pokazano w nim bogactwo natury we wszystkich województwach, najciekawsze parki narodowe i tereny chronione ze względu na niepowtarzalną przyrodę, a czasami miejsca po prostu urokliwe i doskonałe na wymarzony wypoczynek. Nie zabrakło też wyjątkowych obiektów kultury materialnej, polskich kościołów, katedr, zamków i pałaców.



## WYPRAWA DO ŚWIATA MAJÓW

W poszukiwaniu prawdy o życiu współczesnych Majów przemierzyła wioski odcięte od cywilizacji, gdzie nadal praktykuje się dawne rytuały. Rozmawiała z szamanami i obserwowała ceremonię Nowego Roku. Zatrudniła się jako wolontariuszka w więzieniu dla kobiet, by poznać zasady działania gangów w Salwadorze. Wsłuchiwała się w szept kobiet opowiadających o tragediach wojny domowej w Gwatemali. Wróciła z odpowiedziami, które zmieniły jej życie.



Reportaż „Na początku jest koniec” Weroniki Mliczewskiej to zapis niezwykłej wyprawy do świata Majów (Mundo Maya) przez tereny Gwatemali, Meksyku, Hondurasu, Belize i Salwadoru. Poznajemy ich współczesną historię i kulturę, bez ubarwień, romantycznych mitów i taniej egzotyki. Wiele przytaczanych opowieści ma wspólny mianownik: to pytanie o tożsamość, uwikłanie w kontekst kulturowy, od którego odcięcie kusi, lecz prowadzi do zagubienia. To pytanie o miejsce dla tradycji przodków we współczesnym świecie. Książka ukaże się w lutym nakładem wydawnictwa Muza.

## WŁOCZYKIJ

GRYFIŃSKI FESTIWAL MIEJSC I PODRÓŻY

11 dni festiwalu, co najmniej 100 prelegentów i ponad 100 wydarzeń. Tak w największym skrócie będzie wyglądać 11. Gryfiński Festiwal Miejsc i Podróży Włoczykij, który odbędzie się w Gryfinie od 23 lutego do 5 marca.

Zaprezentują się m.in.: znakomity dziennikarz, korespondent wojenny Andrzej Meller; Rafał Grzenia, reporter w wojennej Syrii, autor książki „Sura”; Grzegorz Ozimiński i Maciej Stromczyński, którzy najprawdopodobniej jako pierwsi Polacy pokonali Pacific Crest Trail, 4265-kilometrowy pieszy szlak w USA; Marcin Lewandowski i Szymon Stryczula-Maślak, którzy zjechali na nartach skiturowych z Muztagh Ata (6500 m n.p.m.); Jakub Czajkowski, który konno przejechał Mongolię i Kirgistan; Łukasz Pyfel, Łukasz Staniszewski i Emil Zieleniewicz,



którzy przejechali rowerami z Junnanu do Syczuanu przez Góry Sinotybetańskie; Anita Demianowicz, która przejechała rowerem dookoła Polski.

Nie zabraknie koncertów (m.in. Czesław Śpiewa i Dubska), degustacji potraw, wycieczek krajoznawczych (autobusy będą wyjeżdżać czterokrotnie w kierunku Kamienia Pomorskiego, Nowego Tomyśla, Szczecina oraz Berlina), pokazów filmów, warsztatów dla dzieci i młodzieży, ekstremalnego rajdu na orientację (dystanse 50 km i 100 km) czy Balu Włoczykija w konwencji kosmicznej.

[www.wloczykij.com](http://www.wloczykij.com)



## ŚLADAMI MARZEŃ

Festiwal Podróżniczy Śladami Marzeń to autorski projekt Jaśminy i Tomasa Labusów. Przy współpracy i dzięki uprzejmości Międzynarodowych Targów Poznańskich w tym roku już po raz piąty będą oni współtworzyć podróż przez kontynenty. Festiwal rozpocznie się 17 lutego i potrwa 3 dni. Będzie można wysłuchać prelekcji, wziąć udział w warsztatach, spotkaniach, odwiedzić stoiska na Targach Regionów i Produktów Turystycznych Tour Salon 2017. Najlepsze prelekcje zostaną nagrodzone w kategoriach Śladami Marzeń po Polsce oraz Śladami Marzeń przez Świat.

[www.sladamimarzen.pl](http://www.sladamimarzen.pl)

## PODRÓŻE NA SZAGE

Opodróżach na szage (czyli po poznańsku: na skrót) będzie można posłuchać na VI Festiwalu Na Szage, który odbędzie się w dniach 3-5 lutego, w Poznaniu



w auli AWF. Prezentacje wezmą udział w konkursie na najciekawszą opowieść. Wystąpią również zaproszeni goście, a wśród nich m.in. Arkady P. Fiedler z opowieścią o podróży maluchem, Kamila Kielar, która opowie o Laponii, Piotr Horzela zabierze publiczność do Sudanu Południowego, a zesłoroczni laureaci Marzena Badziak i Jan Piętek wystąpią z premierową prezentacją o Omanie.

Odbędzie się także wernisaż i wystawa zdjęć projektu Man in the Public Space oraz wystawa zbiorów biżuterii etnicznej i zdjęć autorstwa Magdaleny Kwiatkiewicz. Dowiedzieć się również będzie można o aktualnych zagrożeniach czyhających na podróżnych w różnych częściach świata. Dzieci i dorośli będą mogli wziąć udział w wykładach i warsztatach tematycznych, spotkaniach autorskich, kupić książki podróżnicze, porozmawiać przy dobrej kawie i herbacie z podróżnikami. Więcej na: [www.festiwalnaszage.pl](http://www.festiwalnaszage.pl)

FOT. ARCH. STAROSTWO NOWY SĄCZ - KAMIL BANIKOWSKI



# SĄDECKIE

## ZIMOWE BESKIDZKIE SERCE MAŁOPOLSKI

### DZIEŃ SIĘ BUDZI

Poranna panorama Beskidu  
Sądeckiego z nad Wierchomli –  
z zimowymi Tatrami w tle.



FOT. ARCH. STAROSTWO NOWY SĄCZ – KAMIL BANIKOWSKI

Żeby odpocząć od zgiełku miasta, codziennych zajęć, nauki i szkolnego trudu, trzeba znaleźć spokój, zmęczyć się na świeżym powietrzu, nacieszyć oczy pięknym krajobrazem i nasycić się życzliwością ludzi. Zimowe ferie lub weekend w Sąddeckiem gwarantują doskonały relaks i zdrowy wypoczynek. Zima jest tu wyjątkowa.

#### WYGODNIE NA SZCZYT

Nowoczesna sześcioposobowa kolej gondolowa na szczyt Jaworzyny Krynicy. Zimą narciarze, a latem rowerzyści mogą nią transportować także swój sprzęt. Podróż trwa kilkanaście minut.

**S**ąddecka zima to przyjemnie szczypiący w policzki mróz, wspaniałe widoki na odpoczywające pod śnieżną kołdrą góry i nowoczesne wyciągi narciarskie niemal pod ręką. Narciarze i snowboardziści z pewnością znajdą tu coś dla siebie. Dobrze i bezpiecznie wypoczną zarówno mistrzowie szusowania, jak i początkujący adepci zimowego szaleństwa.

Zimowe centrum Sądeczyzny to okolice Krynicy i Muszyny oraz dolina Popradu z Wierchomlą i Rytrem. Tutejsze stacje co rok wzbogacają swoją ofertę. To już nie tylko jazda na coraz ciekawszych i różnorodnych stokach. To również przejażdżki skuterami śnieżnymi,

szaleństwa w specjalnych freestyle'owych snowparkach, jazda stylowym telemarkiem, szkoły, a nawet przedszkola narciarskie. Wypoczynek dla całej rodziny.

#### TELEMARKIEM DO MOFET

Obowiązkowym punktem każdej wizyty na Sądeczyźnie jest wjazd kolejką gondolową na szczyt Jaworzyny Krynicy. Piechurzy mogą stamtąd wyruszyć szlakiem na raketach śnieżnych, a narciarze – szusować po stoku. Przygotowano kilka tras o różnym stopniu trudności. Są też mniejsze wyciągi orczykowe oraz krzeselkowy. Kolej, którą można wjechać na



szczyt Jaworzyny Krynickiej (1114 m n.p.m.), jest wizytówką Krynicy. Wygodne wagoniki zabierają do sześciu osób. Każdy z nich ma uchwyty na narty. Na szczycie można nie tylko podziwiać panoramę Beskidu Sądeckiego i Niskiiego, ale przy dobrej widoczności – również słowackich Tatr.

Ciekawa jest także oferta w krynickich Słotwinach, gdzie działają dwie stacje, które oferują dobre warunki zjazdowe, szkółki narciarskie, wypożyczalnię sprzętu, oświetlone trasy i wiele dodatkowych atrakcji. Stacje dysponują stokami dla dużych i małych, wytrawnych narciarzy i początkujących. Na chętnych czeka szkołka narciarska, a dbający o niepowtarzalny styl mogą się nauczyć szusowania telemarkiem. Do takiej jazdy zaprasza stacja Słotwiny Arena. Telemark to styl narciarski stworzony przez norweskiego narciarza Sondre Auversona Norheima w XIX w. To on także jako pierwszy wykonał taliowane narty (carvingowe) oraz zastosował elastyczne wiązania.

Niezwykle kuszący jest wielokrotnie nagradzany ośrodek narciarski Henryk Ski, który znajduje się w centrum Krynicy. To świetny, dość długi stok dla poznających i doskonalących sztukę szusowania. Przygotowane tam trasy zjazdowe są doskonałym miejscem do podziwiania panoramy uzdrowiska.

Idealne dla rodziny są też zbocza w Tyliczu leżącym kilka kilometrów od Krynicy. Tu na dzieci czekają przedszkola narciarskie, a nawet specjalne poletko do jazdy na sankach. Ciekawych przyrodniczych atrakcji z pewnością dostarczą słynne tutejsze bulgoczące mofety z wydobywającym się spod wody dwutlenkiem węgla. W Tyliczu narciarze mają do wyboru dwie doskonale przygotowane stacje narciarskie. Jedna zachęca nagrodami za poziom bezpieczeństwa na stoku, a druga kusi funparkiem, gdzie każdy może spróbować niezapomnianej przejażdżki przez tunel.

Miłośnicy białego szaleństwa powinni także skorzystać z wyjątkowej oferty stacji Dwie Doliny Muszyna-Wierchomla. Tu można stać się narciarskim wędrowcem zjeżdżającym stokami z Wierchomli w okolice Muszyny i z powrotem. Stacja oferuje 9 wyciągów i tras o różnym stopniu trudności. Nieopodal jest hotel i wygodny bezpłatny parking.



FOT. ARCH. STAROSTWO NOWY SĄCZ – ANDRZEJ KLIMOWSKI



FOT. ARCH. STAROSTWO NOWY SĄCZ – EWA WRÓBEK

## PÓŁ ROKU ŚNIEGU

Stacja górna kolejki gondolowej na Jaworzynie Krynicką – na wysokości 1114 m n.p.m. (dolna stacja – 466 m n.p.m.). Śnieg leży tu przez prawie pół roku.



FOT. ARCH. STAROSTWO NOWY SĄCZ – ANERZEJ KLIMOWSKI

## KRZESEŁKIEM NA WIERCHOMLĘ

Miłośnicy białego szaleństwa oraz pięknych widoków mogą także skorzystać z wyjątkowej oferty stacji Dwie Doliny Muszyna-Wierchomla.

Do wizyty w dolinie Popradu zachęca szczególnie stacja narciarska w Rytrze. To nieco wymagający stok z niesamowitym widokiem na wznoszące się nad wstęgą Popradu ruiny ryterskiego zamku, o tej porze roku otulone białym szalem górskich zboczy.

Oprócz dużych stacji na narciarzy czekają też mniejsze ośrodki w Kamiannej, Ptaszkowej, Cieniawie, Kosarzyskach i Gaboniu. Sądeckie stacje oferują dobrze przygotowane, ratrakowane trasy. Część jest oświetlona i daje swobodę nocnego zjeżdżania. Przy każdej kuszają smakowitymi potrawami karczmy i restauracje. Oferowane w nich regionalne specjały zadowolą każde podniebienie.

## JIBBY I LAJNY

O miłośników freestyle'u w sposób szczególny zadbane w krynickich Słotwinach, gdzie przygotowano snowpark o długości 600 m. Jest on oświetlony i zaśnieżony, a różnica poziomów wynosi 120 m. Urządzono

tu wiele przeszkód *jibbowych* ustawionych w kilku *lajnach* o różnym stopniu trudności. Dzięki temu ze snowparku mogą także korzystać początkujący freestyle'owcy.

Krynica może się pochwalić największym w Polsce snowparkiem. Powstał on na stokach Jaworzyny. Do jego obsługi przeznaczona jest 4-osobowa kolej krześelkowa. Snowpark ma 1 km długości i 25 m szerokości. W jego skład wchodzi 17 elementów *jibbowych* o różnym stopniu trudności wybicia typu skocznia (7 elementów). Na miłośników freestyle'u czekają dwie linie przejazdowe. Jedna dla amatorów, początkujących i dzieci, a druga dla doświadczonych i zaawansowanych. Z myślą o najmłodszych narciarzach i snowboardzistach powstał nieopodal – również na stokach Jaworzyny – mały Fun Park.

Snowpark jest także ważną atrakcją w stacji Dwie Doliny w Wierchomli. Ma 400 m długości, jest oświetlony, a jego atutem jest to, że najazdy i lądowania w całości są przygotowane z ziemi. Dodatkową atrakcją parku jest



pneumatyczna poduszka AirPad (12 × 9 m): z nią powietrzne akrobacje mogą być jeszcze bardziej widowiskowe, a lądowania – doskonale zamortyzowane.

## WĘDRÓWKI KONNE I PSIE

Sądeckie to świetny region do zimowych wędrówek. Dobrze przygotowani piechurzy mogą śmiało wyruszać na górskie leśne trasy. Marsz na raketach śnieżnych dostarcza niezwykłych wrażeń i daje okazję do intymnego smakowania przyrody.

Zwolennicy nieco mniej ekstremalnych przygód znajdą coś dla siebie w okolicach Tylicza. Tam przygotowano narciarską trasę biegową wiodącą okolicznymi szczytami aż do Krynicy i dwie mniejsze lokalne pętle. To kilka kilometrów dobrze przygotowanego leśnego szusowania z niezwykłymi miejscami widokowymi. Na starcie w Tyliczu jest wypożyczalnia sprzętu i fachowa informacja. Kolejnych 6 km niezwykle interesujących tras

narciarstwa biegowego przygotowano i prowadzono na stoku Jaworzyny Krynickiej oraz po okolicznych halach i terenach leśnych.

Najbardziej rozleniwiającym sposobem zimowego wędrowania są kuligi. Niezapomnianych wrażeń dostarczają zwłaszcza przejazdy wieczorne, gdy mrok jest rozświetlany pochodniami, słychać rzenie koni i szum wiatru. Na długo w pamięci zostają takie zimowe konne wyprawy w okolice Krynicy, Muszyny czy Rytra.

Najbardziej egzotycznym sposobem zimowego wędrowania w okolicach Muszyny i Krynicy jest przejażdżka psimi zaprzęgami. To także okazja do poznania psów i maszerów, sprzętu, zasad prowadzenia zaprzęgu oraz prawidłowego ustawiania zwierząt. Najczęściej spotykane rasy czworonogów ciągnących zaprzęgi to: psy grenlandzkie, syberian husky, alaskan malamut, alaskan husky oraz psy wyhodowane do tego sportu – ESP greystery. Zwierzęta uwielbiają ludzi i świetnie czują się w ich towarzystwie. W ofercie są

## MAŁE ÓŚRODKI

**Mniejsze wyciągi zachęcają rodzinną atmosferą i elastycznością oferty.**



FOT. ARCH. STAROSTWO NOWY SĄCZ – ANDRZEJ KLIMOWSKI

### POLARNE ATRAKCJE

Jedną z niezwykłych atrakcji zimowego wypoczynku w Sądeckim są przejażdżki psimi zaprzęgami.

też przejażdżki rodzinne i spotkania z psami, podczas których można bliżej poznać te niezwykle zwierzęta, historię tego sportu, a nawet spróbować samodzielnie poprowadzić zaprzęg.

W Złockiem, 4 km od Muszyny, można spróbować ujeżdżania wierzchowca. Na turystów czeka całoroczny ośrodek jazdy konnej. Stamtąd warto przejechać się konno po

okolicy: na Jaworzynę Krynicką, do Bacówki nad Wierchomlą – i zwiedzić okoliczne zabytki. W ośrodku jest sześć koni i dwa kucyki doskonale nadające się dla dzieci. Zwierzęta cały czas przebywają z ludźmi, są bardzo łagodne i łase na pieszczoty.

Miłośnicy motoryzacji i dynamicznego podróżowania z pewnością będą zachwyceni

### ZIMOWO, BAJKOWO

Krajobraz zimowego centrum Sądeczczyzny – okolic Krynicy i Muszyny, Doliny Popradu z Wierchomlą i Rytrem.



wycieczkami na skuterach śnieżnych po okolicy Krynicy i Muszyny. Można wybierać stopień trudności pokonywanego terenu i docierać na niedostępne dla innych wspaniałe górskie punkty widokowe. Warto spróbować też snowcraftingu, czyli zjazdu ze stoku na pontonach. Urok tej szalonej zabawy polega na niezwykle małej sterowności pontonu i koniecznej przy tym współpracy wszystkich nim jadących. To gwarancja niesamowitych wrażeń i sporej dozy adrenaliny. Takie zjazdy są organizowane w okolicach Krynicy, Tylicza, Piwnicznej i Wierchomli.

## RELAKS AKTYWNY

Doskonałą formą relaksacyjnego spaceru jest wyprawa na ślizgawkę. To połączenie aktywnego wypoczyniania z właściwą dla spaceru rozmową w miłym towarzystwie. Na łyżwiarzy czekają tafle lodowe w Krynicy, Muszynie, Piwnicznej, Starym Sączu, Nowym Sączu i Chelmcu. Łyżwy są dostępne na miejscu, w wypożyczalniach działających przy lodowiskach.

Po aktywnym wypoczynku na stokach czas na odnowę sił vitalnych. Zapewnia to bogata oferta spa i rekreacji w sądeckich hotelach i ośrodkach. Wspaniałe odpoczynek przynosią dobroczynne masaże i kąpiele. Przykryte białym puchem góry idealnie współgrają z relaksem po zabiegach. Bliskość przyrody



FOT. ARCH. STAJESTWID NOWY SĄCZ - ANDRZEJ KULIKOWSKI

przynosi wyciszenie, a wody mineralne serwowane w pijalniach Krynicy, Muszyny i Piwnicznej wspomagają uzdrawiającą moc urlopu.

Sądeckie to najlepszy region na aktywny rodzinny zimowy wyjazd. Narty, spa, dobroczynny wpływ natury, smaczna, wyjątkowa, niepowtarzalna kuchnia regionalna i gościnni ludzie powodują, że ferie chce się tu spędzać każdej zimy. Wystarczy tylko spróbować. ◉

Zapraszamy na [www.sadeckie.eu](http://www.sadeckie.eu)

### ORCZYK Z WIDOKIEM

„Dostojnej” podróży orczykiem towarzyszyć może kontemplowanie pięknych widoków.



FOT. ARCH. STAJESTWID NOWY SĄCZ - KAMIL BANOWSKI



# HYGGE!

Skoro podróże kształcą, róbmy z nich częstszy użytek i sięgajmy po podpatrzone w świecie sposoby na wszelkie bolączki. W sprawie obecnej pory roku najlepiej doradzą Duńczycy – eksperci od zimy.

**C**oś jest na rzeczy. Od kilku miesięcy w telewizji i lifestylowej prasie niepodzielnie króluje duńska filozofia życia. Choć my, Polacy, nie od dziś dobrze czujemy się w skandynawskiej estetyce, a duński design od lat zbiera u nas najwyższe noty, tym razem daniomania zatacza coraz szersze kręgi. Na rynku ukazało się ostatnio kilka poradników o podejściu Duńczyków do codzienności, obejmujących

nie tylko wystrój wnętrz, ale też porady z zakresu psychologii, kuchni, rękodzieła, aż po metody wychowywania dzieci. Czyli wszystko, co składa się na szeroko pojęte szczęście.

Skąd nagle moda na trendy z Kopenhagi? Wydawcy argumentują: Duńczycy regularnie wygrywają rankingi najszcześniejszych narodów na świecie. Myślę jednak, że za duńskim podbojem naszych księgarń kryje się coś jeszcze. Bo niby dlaczego nastąpił akurat teraz? Odpowiedź jest prosta: nadeszła zima, a na tej Duńczycy znają się jak nikt.

W Skandynawii pozostałe pory roku mają charakter raczej symboliczny. Chłodne miesiące ciągną się w nieskończoność, nadchodzą w połowie września, by zniknąć na początku czerwca. Mroźne dni trudno odróżnić od czarnej jak sadza nocy – w szczycie zimowego sezonu zmrok zapada już około czternastej. Jeśli dodać do tego lodowaty wiatr i oblepiającą Półwysep Jutlandzki nadmorską wilgotność, nasuwa się tylko jeden pomysł na spędzenie wolnego czasu – nie wyściubiać nosa z domu. To tutaj Duńczycy spędzają większość roku i większość swojego życia. I właśnie w domowych pieleszach kryje się ich tajna broń przeciw zimie.

Do zrozumienia duńskiej recepty na zadowolenie z życia i dobre samopoczucie niezależnie od okoliczności (także

tych klimatycznych) potrzebne jest słowo klucz: *hygge*. To nieprzetłumaczalne na inny język określenie na przyjemne uczucie, którego doznajemy w bezpiecznym, przytulnym otoczeniu – najczęściej w ciepłym i pełnym bliskich domu, ale też w innych ulubionych miejscach i sytuacjach, jak kawiarnia, spacer, chatka na wsi czy spotkanie z przyjaciółmi.

Marie Tourell Sørderberg, autorka książki „Hygge. Duński sposób na szczęście”, ilustruje definicję *hygge* wieloma przykładami i nastrojowymi zdjęciami. Są wśród nich puchate pledy, miękkie poduchy, rozgrzewające szlafroki, garnki swojsko wiszące na ścianach kuchni czy pluszowe kapcie czekające w przedpokoju na zmarzniętego na kość właściciela. Podejrzewam, że *hygge* towarzyszy mi, gdy:

- zawinięta w koc słucham szalejącego za oknem wiatru,
- zdejmuję mokry od śniegu płaszcz w progu suchego mieszkania,
- leżę w ciepłym łóżku, a o dach bębni deszcz,
- wyciągam zziębnięte dłonie w stronę rozpalonego kominka,
- próbuję pierwszej łyżki parującej, aromatycznej zupy.

Z jednej strony pojęcie *hygge* jest pojemne jak z gumy. Obejmuje wszystko to, co pomaga stawić czoła problemom,

FOT. SHUTTERSTOCK

chandrze i pozbawionemu ważniejszych przyczyn przygnębieniu. Z drugiej – rządzi się precyzyjnymi prawami. Marie Tourell Søderberg wylicza szczegółowe zasady, według których najlepiej urządzić wnętrze, by stanowiły kojący azyl. Podpowiada, jak zestawiać przedmioty, tkaniny, kolory i style, jakich używać materiałów (drewno, naturalne włókna i kamień), a nawet jaką barwę powinno mieć światło w żarówce: dla najlepszego efektu powinna wynosić ni mniej, ni więcej tylko 2700 kelwinów. Nie ma też *hygge* bez świec – nie bez powodu Duńczycy przodują w międzynarodowych statystykach zużycia stearyny: rocznie na głowę spalają jej prawie sześć kilogramów.

Koncept *hygge* może niektórym wydawać się zbyt ogólny. Nic podobnego! Obowiązuje tutaj językowa precyzja, w której częstą *hygge* dodaje się do bardziej szczegółowego rdzenia. Przykłady:

*Hyggefiskeri* – łowienie ryb w duchu *hygge*. *Hyggehjørne* – kąciak w domu, gdzie panuje atmosfera *hygge*. *Hyggekyrds* – rozwiązywanie krzyżówek, żeby poczuć *hygge*. *Hyggeonkel* – poczciwy, jowialny wujek, co to i pożartuje, i pobawi się z dziećmi. *Hyggesyg* – słowo opisujące lubiany przez wszystkich stan, czyli kiedy jest się na tyle chorym, żeby nie pracować, ale nie tak bardzo, żeby leżeć w łóżku. Wolno wtedy bezkarnie siedzieć w domu, objadać się i oglądać filmy.

Podobne terminy można mnożyć, ale wszystkie da się sprowadzić do wspólnego mianownika: *hygge* to po prostu odnajdywanie szczęścia w drobnych przyjemnościach. I ta drobność, a raczej prostota, jest kluczowa. Jeśli urządzamy mieszkanie, to bez zbędnych luksusów, jeśli kupujemy nowy ciuch, to ma być przede wszystkim wygodny. To samo dotyczy przygotowywania posiłków. W dobie kulinarnego szału trudno dziś spotkać książkę bez załączonych przepisów, ale te duńskie mają podstawową przewagę: nawet ja potrafię je zrealizować. Z radością przytaknęłam zasadzie: „Im mniej składników, tym mniej kompromisów w sprawie jakości” i przystąpiłam do dzieła: kanapki z plasterkami ziemniaków, kisiel z owocami, owsianka z mlekiem z puszki, bułeczki, których nie trzeba nawet formować dłonią, bo wystarczy pacnąć na blachę trochę ciasta. Niewyszukane, ale efektowne. Zimą duńska kuchnia jest jak Gripovita: rozgrzewa i jak smakuje!

**Publico24**  
DIGITAL NEWSSTAND

**Wygodny dostęp do prasy  
na telefonie i tablecie**



Zainstaluj aplikację  
**Publico24**,  
włącz Bluetooth  
na swoim urządzeniu  
i ciesz się bezpłatnym  
dostępem do prasy

Aplikacja dostępna w:



Uruchom Bluetooth, by korzystać z darmowych treści w wybranych miejscach\*



**Publico24**  
DIGITAL NEWSSTAND

R E K L A M A

Kto spodziewa się po Duńczykach rewolucyjnych tez i porad, jakich jeszcze nie było, będzie zawiedziony. Bo nie na tym polega *hygge*. Przeciwnie, jest zaprzeczeniem wszelkich kontrowersji i silenia się na oryginalność. Autorka „Duńskiej sztuki szczęścia” w nocce biograficznej charakteryzuje siebie tym, że „w życiu stara się unikać dramatów”. Na pierwszy rzut oka zalecenia takie, jak czas spędzany z rodziną, pielęgnowanie przyjaźni, kontakt z naturą, smaczne jedzenie, relaks po pracy i ładnie urządzone mieszkanie nie wydają się niczym odkrywczym. Są jednak sprawdzone i niezawodne. A przede wszystkim – proste w zastosowaniu. Nie wiem jak was,

ale mnie w obecnych warunkach pogodowych nie stać na bardziej wyrafinowane rozwiązania. Idę zakopać się pod koc, zjem chleb z ziemniakami i mogę mówić, że podążam za najnowszymi trendami. Od razu mi lepiej! ○

**Magdalena Żelazowska**

Dziennikarka, pisarka, blogerka. Od lat w bliższych i dalszych podróżach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachłanni” i „Hotel Bankrut”. Prowadzi blog podróżniczy [www.zgubsietam.pl](http://www.zgubsietam.pl).



#### WILLA PRZY PARYSKIEJ

Przy rue de Paris, stylowej alei Saint-Denis, stolicy Reunionu, ulokowały się dawne kreolskie rezydencje. Obecnie służą za siedziby biur informacji turystycznej, muzeów oraz innych instytucji kulturalnych.

# KREOLSKIE RETRO KOLONIALNE

**Tomasz Jaraczewski**

Na wyspie Reunion, jednym z zamorskich departamentów Francji, nie sposób nie zachwycić się charakterystyczną miejscową architekturą: chatami i willami kreolskimi. Odkrywając przez miesiąc piękne zakątki wyspy, podziwialiśmy te domy w każdej, nawet najmniejszej osadzie.





FOT. BARBARA TOMASZ JARAŁCZYŃSKA



FOT. BARBARA TOMASZ JARAŁCZYŃSKA

**E**ntre-Deux to urokliwe miasteczko na Reunionie, usytuowane w malowniczej dolinie pomiędzy korytami dwóch rzek, znad których wystrzelują w niebo majestatyczne wierchy z bujną i soczystą roślinnością. Zawędrowaliśmy do tej miejscowości za namową lokalnej nauczycielki sztuki. Wyekwipowała nas w szczegółowy, ręcznie, ale profesjonalnie naszkicowany plan miasta z naniesionymi przykładami rdzennej architektury.

Pierwsze domy, konstruowane zazwyczaj na planie prostokąta, zostały wymyślone, a następnie były wykonywane przez licznych cieśli okrętowych przybyłych na wyspę z metropolitalnej Francji. Nikogo zatem nie może dziwić, że wznoszono je tak, jak buduje się statki, w technologii szkieletu drewnianego. Budynki miały symetryczną strukturę, w której na pierwszym planie sytuowała się weranda, będąca zewnętrznym przedłużeniem salonu. Ten rodzaj zadaszonego tarasu, inspirowany

#### DOM OTWARTY

Typowy kreolski dom z rozległym balkonem i udekorowaną roślinnością werandą wychodzącą na ogród. Była ona miejscem, gdzie zwyczajowo przyjmowano gości.

**DOLINA JAK MARZENIE**

**W tej malowniczej dolinie,  
okolonej z trzech stron  
górkami zboczami,  
leży miasteczko Cilaos.  
Również i ono skrywa  
niemało okazji  
kreolskiej architektury.**







FOT. BARBARA I TOMASZ JARACZEWSKY

**MIESZKANKI Z MIESZANKI**  
Reunion jest miejscem przenikania się wielu kultur, a mieszkańcy wyspy tworzą fascynującą mieszankę ras, języków i wyznań.

rezydencjami Pondichery, ówczesnej kolonii francuskiej, był miejscem, w którym domownicy spędzali dużo czasu. Gawędzili, pracowali przy robótkach ręcznych lub przyjmowali gości, z mniejszą jednak pompą, niż miałyby to miejsce w salonie. Aby zachować prywatność i kameralność, weranda wychodziła na ogród znajdujący się po przeciwległej stronie od drzwi wejściowych, a więc poza zasięgiem wzroku przechodniów.

Chaty kreolskie nierzadko są zdobne w lambrekiny, rodzaj drewnianego lub stalowego ornamentu, który oprócz funkcji dekoracyjnej spełnia bardzo praktyczną rolę: odprowadza wodę deszczową z połaci dachu i powoduje, że kapie ona przed elewacją domu, a nie spływa po niej. Ten detal wyspiarskiej architektury doskonale widać chociażby na przykładzie budynków w Hell-Bourgu,

## BUŁECZKI OD LOULOU

Najczęściej fotografowanym obiektem w Saint-Gilles-les-Bains jest sklep piekarniczy „Chez Loulou”. Po pożarze w latach 90. został wiernie odrestaurowany, a swoje podwoje otworzył ponownie w 1998 r.



FOT. BARBARA I TOMASZ JARACZEWSKY

miejsowości uzdrowiskowej, do której w dziewiętnastym stuleciu zjeżdżały z wybrzeża zamożne rodziny, aby zaczerpnąć odrobinę wytchnienia od tamtejszej spiekoty. Miasto to zalicza się od 1998 r. do miejscowości wyróżnionych mianem „najpiękniejszych miast Francji”. Sprawia wrażenie, jak gdyby czas zatrzymał się tu w miejscu kilkadziesiąt lat temu, aby ocalić od zapomnienia ślady kolonialnego *art de vivre*.

Wspominany tytuł, nadawany od 1982 r. unikalnym miejscowościom Francji, ma promować regionalne gminy i miasteczka szczytujące się bogatym dziedzictwem kulturowym. To właśnie Hell-Bourg jest miejscem, w którym zachowały się tzw. *guétali*, czyli małe altanki o ażurowych ścianach wznoszone na murach u zbiegu ulic. Były one wykorzystywane zwłaszcza przez młode damy z dobrych domów do obserwowania ludzi spacerujących ulicą poniżej.

W XIX w., kiedy powstawały chaty kreolskie, ludzie nie mieli wielu rozrywek. Nie



*Jubileuszowe  
XX Targi*

# FILM VIDEO FOTO

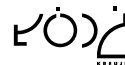
TARGI SPRZĘTU FOTOGRAFICZNEGO, FILMOWEGO,  
AUDIO - VIDEO ORAZ TECHNOLOGII MULTIMEDIALNYCH

**6-8.04.2017**

**al. Politechniki 4  
Łódź**



Organizator:



KONTAKT:

**Kamila Berezinska**

Kierownik Projektu

tel. 42 639 90 53, 605 630 853

e-mail: k.berezinska@targi.lodz.pl

Patronat honorowy:



[filmvideofoto.pl](http://filmvideofoto.pl)

R E K L A M A

istniała telewizja, nie było jeszcze radia ani kin. Grało się w domino lub karty, prowadziło dysputy, haftowało, odbywało przechadzki alejkami miasteczka. Można też było podpstrywać zza ażurowych ścian arystokratki wracające z term lub fizjonomie urodziwych młodzieńców. Zbudowane nad ulicami altanki były idealnym miejscem na rejestrowanie wszelkimi zmysłami tego, co działo się na ulicy.

W samym centrum Hell-Bourga, przy uliczce prowadzącej na miejscowy cmentarz, mieści się dom Folio, przepiękna posiadłość o białej elewacji i zielonych okiennicach. Zaprasza ona w swoje progi entuzjastów minionej epoki, kiedy Hell-Bourg był kwitnącą stacją termalną, odwiedzaną przez rzesze majątnych mieszkańców wyspy. Posiadłość ta, odrestaurowana przez właściciela z wielką starannością i miłością, zachwyca nie tylko stylem i atmosferą epoki kolonialnej, lecz także przepięknym otoczeniem w postaci tropikalnego ogrodu. Każdy fan ogrodnictwa dostanie tu zawrotu głowy. Paprocie drzewiaste, kamelie, storczyki,

nasturcje, passiflory, begonie, drzewa bambusowe... Można by wyliczać bez końca.

O ile w najprzeróżniejszych miasteczkach i osadach rozsianych na całym obszarze Reunionu znajdują się głównie chaty kreolskie, to stolica Saint-Denis może poszczycić się również okazałymi kreolskimi willami. Ulokowały się one tutaj wzdłuż ulic oraz wokół placów tego największego miasta wyspy.

Wystarczy spacerować się po rue de Paris, najbardziej reprezentacyjnej alei, a razem historycznej osi stolicy, aby w promieniach zwrotnikowego słońca odbyć przyjemną dla oka i obfitującą w artystyczne detale podróż. A jeśli naszą trasę wydłużymy do obszaru całego historycznego centrum, potocznie zwanego Grand Carré, to poznawanie kreolskiej architektury kolonialnej będzie jeszcze bogatsze i pełniejsze. ○



**Tomasz Jaraczewski**

Z wykształcenia romanista, z zawodu nauczyciel języka angielskiego, a z zamiłowania wagałbunda. Kiedyś podróżował samotnie albo w grupie znajomych, obecnie odkrywa świat razem z żoną i trzyletnią córką.



**KOŚCIÓŁ WYCHODZĄCY Z GÓRY**

Santuario de Las Lajas widziane od południowej strony, tuż obok stacji końcowej kolejki linowej.

# CUD NA SKALE

**Karolina Wudniak**

Idziemy – jak wszyscy turyści – tam, gdzie prowadzą strzałki. Jeden zakręt, drugi, droga prowadzi lekko w dół. Kiedy w końcu ją dojrzymy? – niecierpliwie się. Ukryta w kanionie, do ostatniego momentu nie chce się pokazać. Jeszcze kilka schodków, jeden zakręt i naszym oczom ukazuje się ona: bazylika Las Lajas – jeden z najpiękniejszych kościołów na świecie!

**P**rzyznam, że nie jestem fanką sztuki sakralnej i kościoły raczej nie robią na mnie wielkiego wrażenia, ale ten w Las Lajas w Kolumbii jest zdecydowanie najciekawszym, jaki widziałam. W moim osobistym rankingu niewielu kościołów, które wyjątkowo zapadły mi w pamięć, wyprzedził bazylikę Sagrada Família w Barcelonie, kościół w skale w Helsinkach czy Kościół Pokoju w Świdnicy.

## WESOŁA W NOCY, DOSTOJNA W DZIEŃ

Bazylika Las Lajas położona jest na południu Kolumbii, w prowincji Nariño, ok. 10 km od

granicy z Ekwadorem. Dzięki temu wielu turystów i podróżników, którzy przekraczają tę granicę, nie może sobie odmówić i zbacza z trasy, aby zobaczyć tę niezwykłą świątynię. Większość jednak spędza tu kilka godzin i jedzie dalej, ponieważ w miasteczku oprócz bazyliki jest tylko kilka hoteli, restauracji i sklepów z pamiątkami. Ależ wielki błąd popełniają!

Nocą kościół wygląda równie ciekawie – jeśli nie ciekawiej – jak w świetle dziennym. Kolorowe iluminacje oświetlają całą bazylikę i zmieniają co chwilę



**ANIOŁ STRÓŻ**  
Mostu nad kanionem rzeki łączącego sanktuarium z drugim zboczem góry strzegą posągi aniołów.



barwę. Trzeba przyznać, że ten spektakl teatrowy jest nieco kiczowaty, ale na tle kanionu i wodospadu (podświetlonego na zielono) wygląda wyjątkowo!

Kiedy noc zmienia się w dzień, kościół nabiera zupełnie innego charakteru. Wygląda mniej spektakularnie, ale dostojniej. Rzeka w dole kanionu, kamienny most łączący bazylikę z kaplicą po jego drugiej stronie i otaczające kościół zbocza skąpane są w promieniach słonecznych, a błękitne niebo podkreśla urodę tego miejsca.

## PANI WZYWA ROSE

Jak mówi historia, w 1754 r. María Mueces wraz ze swoją głuchoniemą córką Rosą szła przez góry do Ipiales. Na jednym ze zboczy, na skale zobaczyły wizerunek Maryi. Inna wersja mówi, że Indiankę z córką złapała wielka burza i gdy szukały schronienia, weszły do jaskini, w której widniał wspomniany wizerunek.

Wszystkie wersje legendy są jednak zgodne co do jednego: do dziś nikt nie potrafi wyjaśnić, jak ten dokładny obraz, z zatopionymi w skale kolorami, powstał. María

zapewne nie zwróciłaby na niego uwagi, gdyby nie fakt, że właśnie w tym miejscu jej głuchoniema córka przemówiła: „Mamo, Pani mnie wzywa”, i od tego momentu dziecko zaczęło mówić. Zaskoczona María wróciła do swojego miasteczka i opowiedziała całą historię duchownemu.

Miejsce uznano za cudowne i 15 września 1754 r. zorganizowano pierwszą pielgrzymkę z Ipiales do Las Lajas (*la laja* znaczy „skała”). Dwa lata później w tym miejscu wybudowano pierwszą, drewnianą świątynię. Budowę drugiej, większej i murowanej rozpoczęto w 1769 r. Trzecia – jeszcze większa – istniała w latach 1859–1893, a dzisiejszy kształt bazyliki zyskała podczas ostatniej przebudowy, która trwała od 1916 do 1949 r. Dopiero wtedy wybudowano most łączący kościół ze zboczem kanionu po drugiej stronie, który w trakcie dużych uroczystości religijnych służy także za dodatkową przestrzeń dla wiernych.

Ta neogotycka bryła jest uznawana za najpiękniejszy kościół w Ameryce Południowej. Doczekała się również tytułu drugiego cudu Kolumbii w przeprowadzonym w 2007 r. plebiscycie gazety „El Tiempo” (w głosowaniu

**ROZMODLONA ŚCIANA**  
Drozdzie prowadzącej do bazyliki towarzyszą tysiące tabliczek modlitewnych lub dziękczynnych. Zrozpaczeni proszą Panią z Las Lajas o pomoc, a cudownie ocaleni na nią dziękują.







wyprzedziła ją tylko Catedral de Sal de Zipaquirá niedaleko Bogoty – kościół w kopalni soli porównywany do tego w Wieliczce), a brytyjski „The Telegraph” w 2015 r. nazwał bazylikę Las Lajas najpiękniejszym kościołem na świecie. Zasłużenie, wszak świątynia nie tylko zachwyca architekturą, ale również swoim położeniem.

## MURY WYRASTAJĄ Z GÓRY

Santuario de Nuestra Señora del Rosario de Las Lajas jest schowane w kanionie rzeki Guaitara, która wije się na wysokości 2900 m n.p.m. Od podstawy do wieży kościół ma aż 100 m wysokości! Warto poświęcić trochę czasu na spacer, ponieważ na zboczach kanionu wytyczono ścieżki, po których chodzi się to w górę, to w dół. Dzięki temu można zobaczyć kościół z każdej strony: z dołu, od góry, z lewej i z prawej. Tylko z tyłu nie jest to możliwe, bo od zachodu świątynia jest przytulona do skały, ale to tylko dodaje jej uroku.

Kościół niejako wychodzi z boku góry. Gdyby nie most łączący go z drugim zboczem, wyglądałby, jakby na tej ścianie wisiał.

Dokładając do tego strzeliste wieże i gotyckie okna, wygląda zupełnie jak zamek z bajek. Gdy zajrzy się do wnętrza, widać wyraźnie, że za ołtarzem nie ma płaskiej, otynkowanej ściany, jak to zazwyczaj bywa. W zamian jest lita skała, która dodaje wnętrzu trochę surowości i oryginalności. Do kościoła światło wpada przez kolorowe witraże w oknach, oświetlając bogate zdobienia świątyni.

Przykościelne muzeum gromadzi ekspozycje sztuki sakralnej, prekolumbijskiej oraz tej wytwarzanej przez okolicznych Indian, a także dokumenty i historię budowy poszczególnych kościołów. Jednak to prawdziwe, wciąż żywe muzeum mieści się na zewnątrz. Skały przy ścieżce prowadzącej do bazyliki oraz po drugiej stronie kanionu są pokryte tysiącami tabliczek wotywnych, na których wierni dziękują za dokonany cud lub proszą Marię Dziewicę o wsparcie w rozwiązaniu problemów. Najczęściej chodzi o zdrowie. Prośby o pomoc w zajściu w ciążę, podziękowania za cudem narodzone dziecko lub ozdrowienie – to najczęstsza treść tabliczek.

Santuario de Las Lajas co roku odwiedza ponad 750 tys. ludzi (w tym 120 tys. tylko

## REPLIKA JAK BAZYLIKA

**W miejscu obecnej bazyliki stało wcześniej kilka innych. Ta z 1859 r. doczekała się swojej miniatu-  
ry.**



FOT. KAROLINA WUDNIAK

**ATRAKCJA – ILUMINACJA**  
 Nocą kościół jest podświetlany  
 na wszystkie możliwe kolory.  
 Trochę kiczowato, ale pięknie!

**Karolina Wudniak**

Dziennikarka, fotografka, blogerka, autorka dwóch przewodników turystycznych i pilotka wycieczek. Wolny strzelec i wolny duch. Obecnie poznaje Nową Zelandię podczas „Niekończącej Się Podróży Poślubnej”. Uwielbia fotografować, kocha jazdę na nartach, nie ma nic przeciwko dostarczaniu adrenaliny przez sporty ekstremalne. Bloguje na [tropimprzygody.pl](http://tropimprzygody.pl).

w czasie Wielkiego Tygodnia) – głównie pielgrzymów z Kolumbii i Ekwadoru, którzy liczą na taki cud, jakiego doświadczyła María Mueces w XVIII w. Patrząc po ilości podziękowań na skałach, wielu się to udało.

## KOLEJ NA SŁAWĘ

Na rosnącym zainteresowaniu kościołem nie tylko wśród pielgrzymów, ale także wśród turystów, korzysta miasteczko Las Lajas. Powstaje coraz więcej hoteli, restauracji, coraz to nowe stragany z indiańskimi pamiątkami. Można tu kupić wszystko: torby w andyjskie wzory, odzież, obrusy, magnesy czy figurki. Oprócz zakupów po modlitwie można sobie



FOT. KAROLINA WUDNIAK

zrobić zdjęcie z kolorowo ubraną lamą lub zjeść andyjski specjał, czyli grillowaną świnie morską (*el cuy*). Wygląda niezbyt apetycznie, ponieważ jest pieczona w całości, a następnie serwowana na talerzu. Nie wszystkim *cuy* przejdzie przez gardło, ale w Andach to przysmak, a lokalnej kuchni warto próbować. Spróbowałam i wiem, że moją ulubioną potrawą nigdy nie zostanie.

Pomimo rosnącego zainteresowania zagraniczni turyści wciąż są tutaj dość rzadkim widokiem. Ale to się zapewne niebawem zmieni, bowiem władze Kolumbii wreszcie dostrzegły w Las Lajas ogromny potencjał turystyczny i pod koniec 2015 r. otwarto kolej linową, która ma ułatwić dostanie się do sanktuarium pielgrzymom, a turystom zapewnić kolejną atrakcję. Wszak *teleférico* łączy bazylikę z drogą z Ipiales do Las Lajas i pozwala uniknąć 4 km górskich serpentyn.

Z kolejki można podziwiać kościół i jego niezwykle położenie w kanionie. Inwestycja pochłonęła prawie 5 mln dolarów, ale władze Kolumbii mają nadzieję, że 12 wagoników przyciągnie rzeszę turystów do Las Lajas. Zapewne tak się stanie, jednak nie ze względu na kolej linową, ale na niezwykle kościół i fakt, że staje się on zauważalny na całym świecie. Zupełnie zasłużenie, chociaż warto się pospieszyć, zanim Santuario de Las Lajas zostanie zadeptane przez turystów. ○



Portugalia

FOT. SHUTTERSTOCK

# NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Austria

FOT. ALPENSCHNITZ BERGBAUEN, SANKT JOHANN IM PONGAU



Polska

FOT. SHUTTERSTOCK



## MIEJSCE DO KOCHANIA

**A**lcobaça słynie z cysterskiego opactwa i największego w Portugalii kościoła – zbudowanej na przełomie XII i XIII w. gotyckiej trzynawowej świątyni o prostym, jasnym wystroju. W opactwie mieszkało nawet 999 mnichów, działała przyklasztorna szkoła i największa w kraju biblioteka rękopisów. Znajdziemy tu królewskie grobowce, m.in. piękny XVI-wieczny sarkofag króla Piotra I Sprawiedliwego i jego ukochanej Inês de Castro. Historia ich tragicznej miłości jest owiana legendą.

Ciekawostką jest olbrzymia klasztorna kuchnia z kominem, pod którym można było piec całego wołu, a wodę i świeżych ryb na cysterskie stoły dostarczała... płynąca przez pomieszczenie rzeka. Zespół klasztorny jest wpisany na listę dziedzictwa UNESCO, został również wybrany jako jeden z siedmiu cudów Portugalii.

 39°33'N 08°59'W

Alcobaça znajduje się 109 km na północ od Lizbony. Do stolicy Portugalii dolecimy z Warszawy m.in. portugalskimi liniami TAP.



## Polska Opactwo Benedyktynów w Tyńcu

# SANATORIUM DLA DUCHA

**A**scetyczne cele, brak kontaktu ze światem, surowe reguły. Tydzień bez telefonu, bez internetu, za murami. Chorały gregoriańskie, zakapturzeni mnisi, średniowieczna sceneria. To sprawi, że odzyskamy wewnętrzną harmonię. Odpoczynek w klasztorze to nie tylko atmosfera miejsca, ale także luksus dla duszy. Rzecz jasna, nie każdy klasztor przyjmuje turystów. Jednak opactwo Benedyktynów w Tyńcu chętnie otwiera bramy dla spragnionych spokoju i duchowej odnowy.

Kto chce, ten śpi komfortowo, ale lepsze efekty dają skromne cele. Chętni mogą również zregenerować ciało i wziąć udział w rekolekcjach połączonych z dietą św. Hildegardy lub postem Daniela. Benedyktyni zalecają ponadto, aby oddawać się lekturze. Na miejscu dostępne są ciekawe pozycje, w tym „Reguła św. Benedykta”, według której żyją zakonnicy w Tyńcu. Zainteresowani mogą uczestniczyć z nimi w pięciu modlitwach dziennie, od jutrzni po kompletę. Wyciszeniu sprzyja *silentium sacrum* – święte milczenie, które obowiązuje od 21.30 w całym klasztorze.

 50°01'N 19°48'E

Opactwo Benedyktynów w Tyńcu administracyjnie należy do Krakowa i wznosi się na wapiennym wzgórzu nad Wisłą.



# Rodzinny urlop w sercu Alp



FOT. J. FIEDOR, BERGBAUMEN, SANKT JOHANN IM PONGAU

**St** Johann im Pongau to niewielkie miasteczko w sercu austriackich Alp. Miła atmosfera i świat sportu na wyciągnięcie ręki sprawiają, że to miejsce stworzone do zimowego wypoczynku z rodziną. 45 nowoczesnych wyciągów zapewni



FOT. TVB SANKT JOHANN-ALPENLIEBE, ATELIER OCZLON

wygodny dostęp do 120 km świetnie przygotowanych tras o różnych stopniach trudności. Nawet gdy klimat płata figle i zima jest uboga w śnieg, naśnieżanie i „kosmetyka” tras są na najwyższym poziomie. Niemalą atrakcją jest podróż sławną kolejką linową G-Link, która wiedzie ponad całą doliną, łącząc Wagrain z Flachau.

Lokalnej kuchni można spróbować w jednej z wielu wytwornych restauracji, ale również w swojskich knajpkach. Szczególnie polecana jest polędwica z jelenia z tutejszymi

kluszczkami. Wśród licznych zabytków St Johann warto zwrócić uwagę na kaplicę św. Anny, która jest pozostałością po gotyckim kościele parafialnym, zniszczonym przez pożar w 1855 r., oraz na XIX-wieczną katedrę w stylu wilhelmińskim. Miejsc noclegowych w miasteczku jest wiele. Od rodzinnych zajazdów i hosteli po ekskluzywne hotele ze świetnym zapleczem spa, takie jak czterogwiazdkowy hotel Berghof.

Aby poczuć „ducha gór”, konieczne trzeba wybrać się do pobliskiej wioski Filzmoos. Podobno jej okolice skrywają energetyczne czakramy austriackich Alp. Atrakcją tego miejsca jest wieczorny spacer w górskiej scenerii szlakiem oświetlonym pochodniami. Ponad wioską góruje Bischofsmütze (2454 m n.p.m.) – najwyższy szczyt pasma Gosaukamm. Latem okolica jest idealnym miejscem do wspinaczki na różnym poziomie trudności.



FOT. COBN WEESES, TVB FILZMOOS



47°21'N 13°12'E

St Johann im Pongau leży 50 km na południe od Salzburga.



# CHODŹMY NA ŻUBRA!



SLOW ROAD



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

„Bez świateł i pasów” – zapisałem na niewielkim skrawku serwetki, siedząc w przydrożnym barze w Krynkach. Podróżowanie po podlaskich polach zimą to niezwykła przygoda i frajda dla każdego kierowcy. Slow Road sprawdza się tu idealnie.

**C**zego można szukać zimą na Podlasiu? Ciszey nie trzeba szukać, bo jest wszędzie. Przyprószone śniegiem pola, drzewa bez liści i zamrożone rzeki. Niekiedy w tych wschodnich zakątkach Polski jest wręcz za cicho. Ogromne przestrzenie i wyjątkowa przejrzystość powietrza sprawiają, że można poczuć się nieswojo. Zazwyczaj jest zimno, bardzo zimno bądź lodowato zimno. Rekord,

który padł na moim termometrze w samochodzie podczas pobytu w Wiżajnach, to  $-35^{\circ}\text{C}$ . Popękały mi wszystkie zatrzaśki w plecaku fotograficznym. Nie jest tak oczywiście każdego roku, ale często zdarza się, że to właśnie Suwalszczyzna i Podlasie są ostojami zimy w Polsce. Nie ma tu gór i stoków narciarskich, więc nie ma też wielu turystów.

Co można robić tu zimą? Przede wszystkim – prawie bez ograniczeń pojeździć polnymi drogami. Wszystko jest zamrożone i jeśli tylko zasy nie utrudniają jazdy, to można dotrzeć w wiele miejsc, które od wiosny stają się nieosiągalne. Trzeba uważać przy hamowaniu – chyba tylko na Podlasiu widziałem drogi tak pokryte lodem, że można by po nich jeździć na łyżwach. Mnie to jednak cieszy. Lubię zajeżdżać do małych wiosek, osad w Puszczy Knyszyńskiej. Latem uniemożliwiają to dziury, kałuże, a liście zasłaniają cel. Zimą widać wszystko jak na dłoni. Jeżdżę bez świateł i pasów, słucham ulubionej

muzyki. Kiedy się zgubię, po prostu wracam po śladach.

Jeżdżenie samo w sobie jest fajne, ale staje się jeszcze fajniejsze, kiedy mam konkretny cel. Od kilku lat jest nim ob-



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

serwowaniu dzikich stad żubrów, które wychodzą z puszczy na pola w poszukiwaniu jedzenia. To polskie zimowe safari. Są dwa miejsca, gdzie najłatwiej spotkać takie stado. W okolicach Hajnówki jest to banalnie proste. Najpierw widać zaparkowane przy drodze samochody na polskich i zagranicznych numerach, a potem w pobliżu można dostrzec żubry. Wychodzą do wykładanego dla nich



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

pożywienia. Kiedy napatrzę się już na te zwierzęta, co wszyscy, udaję się na własne poszukiwania.

Jak znaleźć stado? Przydaje się mapa z narysowanym kwadratem. Po wyznaczeniu rogów zaczynam podróżowanie we wszystkich kierunkach w poszukiwaniu śladów. Już pięć żubrów pozostawia ich sporo, a po stadzie pięćdziesięciu osobników zostaje ogromny pas wydeptanego śniegu. Kiedy zauważę takie miejsce przy drodze, wychodzę i sprawdzam jego „świeżość”. Jeśli odchody są jeszcze ciepłe, to znaczy, że żubry są niedaleko. Jeśli zaś stwardniały, a ślady przysypał śnieg, to szukam dalej. To świetna zabawa. Czasem psują ją same żubry, które stoją tak blisko drogi, że świetnie je widać. Wtedy lepiej obserwować stado z samochodu lub jego najbliższych okolic. Rozpędzone i wystraszone zwierzęta mogłyby zrobić krzywdę człowiekowi



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

lub sobie – wpaść na płot albo złamać nogę w rowie. Trzeba zachowywać się cicho i ostrożnie. To, że leżą przy drodze powiatowej, nie oznacza, że można traktować je jak krowy na polu. Na takie safari zabieram lornetkę i przez nią obserwuję piękne sceny w stadzie, a sam siedzę w wygodnym fotelu samochodu.

Muszę zaznaczyć, że natura rządzi się swoimi prawami. Pewnego roku spędziłem trzy dni na jeżdżeniu po podlaskich polach i zobaczyłem jedynie samotnego byka wędrującego po polu. Stado było w ukryciu, możliwe, że w obniżeniu przy drodze, a ja byłem rzut beretem od niego bez świadomości tej bliskości. Tak też bywa – gwarancji zobaczenia żubrów nie daję, ale polecam tę zabawę, bo to ogromna frajda.

Drugie miejsce, w którym podglądałem dziko żyjące żubry, to okolice Krynek i Puszczy Knyszyńskiej. Tu zagląda zde-

Trzeba uważać, żeby nie zapędzić się na białoruską stronę, bo mogą z tego być kłopoty.

Gdy wracam z Podlasia, zaglądam jeszcze nad Biebrzę. Moje ulubione miejsca to Wizna, Sieburczyn, Burzyn i Brzostowo. Jeśli się da, dojeżdżam też do mostu na Narwi w Bronowie. Tu można zobaczyć zupełnie inny świat – stojące w lodzie drzewa i biegające między nimi wydry. Nie jest tak łatwo je wypatrzeć jak żubry, ale przy odrobinie szczęścia można podziwiać je, gdy tarzają się w śniegu.

Zimowe Podlasie zachwyca, za każdym razem inaczej. Niekiedy kolorami nieba, innym razem wzorami na śniegu. W małej osadzie w puszczy po chwili orientuję się, że mieszka tu pięć rodzin, bo tylko z pięciu kominów sączy się dym. Podchodzę do płotu i zaczyna się niezwykła rozmowa, której tu nie będę opisywał. Trzeba to po prostu przeżyć. ○



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

cydowanie mniej osób i dużo trudniej spotkać stado. Kiedy jednak uda się je wypatrzeć, oglądam niezwykły spektakl pośród bezkresnych zimowych pól. Trzeba uważać, bo jest to teren przygraniczny. Ja ułatwiam pracę pogranicznikom i sam się zgłaszam pierwszemu napotkanemu patrolowi. Nie muszę później co chwilę się tłumaczyć. Są tu miejsca na bocznych drogach, z których widać słupki graniczne.

#### Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Realizuje dużo projektów wieloletnich, wraca w niektóre miejsca cyklicznie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.



# SMAKOWITA IRLANDIA

Radosław Kozuszek

Prosta, wiejska, wręcz przaśna, a jednocześnie niesamowicie sycąca i smaczna. Taka jest właśnie kuchnia irlandzka – nie powala wyszukany smakiem, ale nigdy nas nie zawiedzie.





**I**rlandczycy nie wprowadzili do kuchni międzynarodowej wielu dań, ale dzięki emigrantom zarobkowym ich potrawy poznał cały świat. Stany Zjednoczone, Kanada, Argentyna, czy nawet Australia i RPA lubują się w tłustych anglo-irlandzkich

śniadaniach, a irlandzki gulasz gości w każdym z tych krajów w mniej lub bardziej zmienionej formie. Wysokiej jakości irlandzki bimber, czyli whiskey, zna każdy, a ci, którzy nie przepadają za czystym alkoholem, na pewno nie odmówią jego dodatku w słodyczach lub kawie.

## FULL IRISH BREAKFAST

Dzisiejsza Irlandia jest krajem nowoczesnym i dość bogatym, ale jej historia wcale nie była taka łatwa. Bieda, ciągłe nękanie przez Anglików oraz klęska głodu związana z zarazą ziemniaczaną nie przyczyniły się ani do rozkwitu narodu, ani tym bardziej kuchni.

Mimo rezygnacji z własnego języka, po części religii oraz wielu zwyczajów Irlandczycy nie ulegli całkowitemu wpływowi kultury narzuconej przez Anglików. Mało tego, nawet ją zmienili i wprowadzili do niej wiele swoich akcentów. Dotyczy to na przykład słynnego wysokokalorycznego i tłustego śniadania irlandzkiego, które tak spodobało się Anglikom, że znane jest na całym świecie pod nazwą śniadania angielskiego. Wbrew ciągłym zarzutom żywieniowców i krytyków kulinarnych pod adresem owego irlandzkiego patentu śniadaniowego to właśnie hotele serwujące „śniadanie angielskie” cieszą się największym wzięciem. Obok typowych śniadań wywodzących się z Europy Wschodniej (polskiego, ukraińskiego, żydowskiego) i Północnej (norweskiego, szwedzkiego) oraz śniadań arabskich jest to jedyny zestaw, który gwarantuje uczestnikom porannej biesiady najedzenie się do syta.

Śniadanie irlandzkie składa się z grillowanego boczku, jajecznicy bądź jaj sadzonych, pieczonej kaszanki lub parówek, ciemnego chleba oraz czasami placków ziemniaczanych, grillowanych pomidorów i pieczonych ziemniaków. Serwuje się także wędliny, sery, warzywa sezonowe, słone irlandzkie masło, mleko, herbatę, kawę, a na deser – muffinki lub ciastka.

Irlandzki zestaw śniadaniowy jest tak popularny i łatwo rozpoznawalny, że podaje się go nie tylko w większości hoteli na świecie, ale także w nawet najbardziej luksusowych liniach lotniczych. W porównaniu ze śniadaniem typowo angielskim Irlandczycy w swojej propozycji nigdy nie podają fasolki w sosie pomidorowym.

### WESOŁA ULICZKA

Temple Bar jest niewielką ulicą zamkniętą dla ruchu kołowego. To tu znajdują się sławetne puby, które oprócz ciemnego piwa i wybitnej whiskey serwują dania z ziemniaków i najbardziej w Dublinie gulasz.

### TUKAN NASTUKANY?

Symbolem piwa Guinness był tukan. W nowoczesnym muzeum można prześledzić technologię produkcji piwa, historię powstania browaru oraz zapoznać się z dawnymi akcjami marketingowymi.

### RYBY SPOD ZIELONYCH KLIFÓW

Irlandia to kraj w przeważającej części rolniczy, stąd tradycyjne dania wywodzą się z kuchni wiejskiej. Ze względu na długie okresy chłodu i deszczu oraz ciągle wiejące silne wiatry w tradycyjnej kuchni irlandzkiej używa się dużych ilości wysokokalorycznych i odżywczych produktów, do których należą: mięsa (wołowina, baranina i wieprzowina), ziemniaki, cebula, kapusta, ryby, owoce morza, nabiał.



### PRASÓWKA PRZY LUNCHU

Ryba z frytkami dawniej podawana była w gazetach. Dziś w związku z toksycznością druku zawija się ją w gruby papier czasem przypominający gazetę, z bezpiecznym drukiem.

### ŚWIATOWY GULASZ

*Irish stew* jest smacznym i bardzo pożywnym daniem, które w mniej lub bardziej zmienionej formie jest znane we wszystkich krajach anglosaskich.

Wśród nabiału Irlandczycy preferują sery, a gubbeen i cashel blue są dobrze znane nie tylko w Europie. Jeśli chcemy skosztować prawdziwej, rdzennej kuchni Zielonej Wyspy, należy wybrać się jak najdalej od Dublina czy Corku – największych miast Irlandii, w których prym w restauracjach wiodą wszystkie smaki świata, tylko nie te typowo staroirlandzkie. Z dala od cywilizacji, na baśniowych Klifach Moheru możemy odnaleźć małe nadmorskie knajpki, które serwują dawne celtyckie dania.

Klify Moheru są zdaniem wielu turystów najpiękniejszym miejscem w całej Irlandii. Ciągną się przez 8 km na zachodnim wybrzeżu wyspy i oddzielają ją od wzburzonych wód Atlantyku. W samym ich centrum wznosi się dziewiętnastowieczna wieża O'Brian's Tower. To właśnie tutaj znajduje się najwyższy punkt Klifów Moheru, a krajobrazy są najbardziej widowiskowe.

Nad wzburzonymi wodami oceanu docenimy smak dań z ryb i owoców morza, które obok mięsa i ziemniaków stanowią żelazną bazę potraw irlandzkich, a dzięki codziennym połowom są najwyższej jakości. Ryby (makrela, łosoś, sola) przyrządza się na grillu, smaży, dusi w maśle, a irlandzkim hitem są niewielkie mielone kotlety rybne podawane z wieloma aromatycznymi sosami. Irlandzcy rybacy pozyskują z mórz także krewetki, ostrygi, kraby oraz glony, które często są serwowane duszone w maśle z dodatkiem trawy cytrynowej i białego wina.



## KRÓLESTWO ZIEMNIAKA

Ze względu na idealny klimat do uprawy ziemniaków od momentu ich przywiezienia w XVI w. warzywa te spożywa się niemal do każdego posiłku. Zazwyczaj Irlandczycy gotują je tradycyjnie „w mundurkach”, a potem używają do wielu sycących potraw. Ziemniaki tłuczone, zasmażane, frytki, purée, placki, ciastka i zupy ziemniaczane – to tylko przykłady irlandzkich możliwości. Aby skosztować tradycyjnych ziemniaczanych smakowitości, ponownie należy opuścić Dublin i udać się w głąb wyspy. Glendalough znajduje się zaledwie godzinę jazdy samochodem ze stolicy. Górząca kamienna wieża (schronienie mieszkańców podczas najazdów) i położony obok niej cmentarz świadczą, że to miasto z VI w. było kiedyś ważnym ośrodkiem osadniczym.

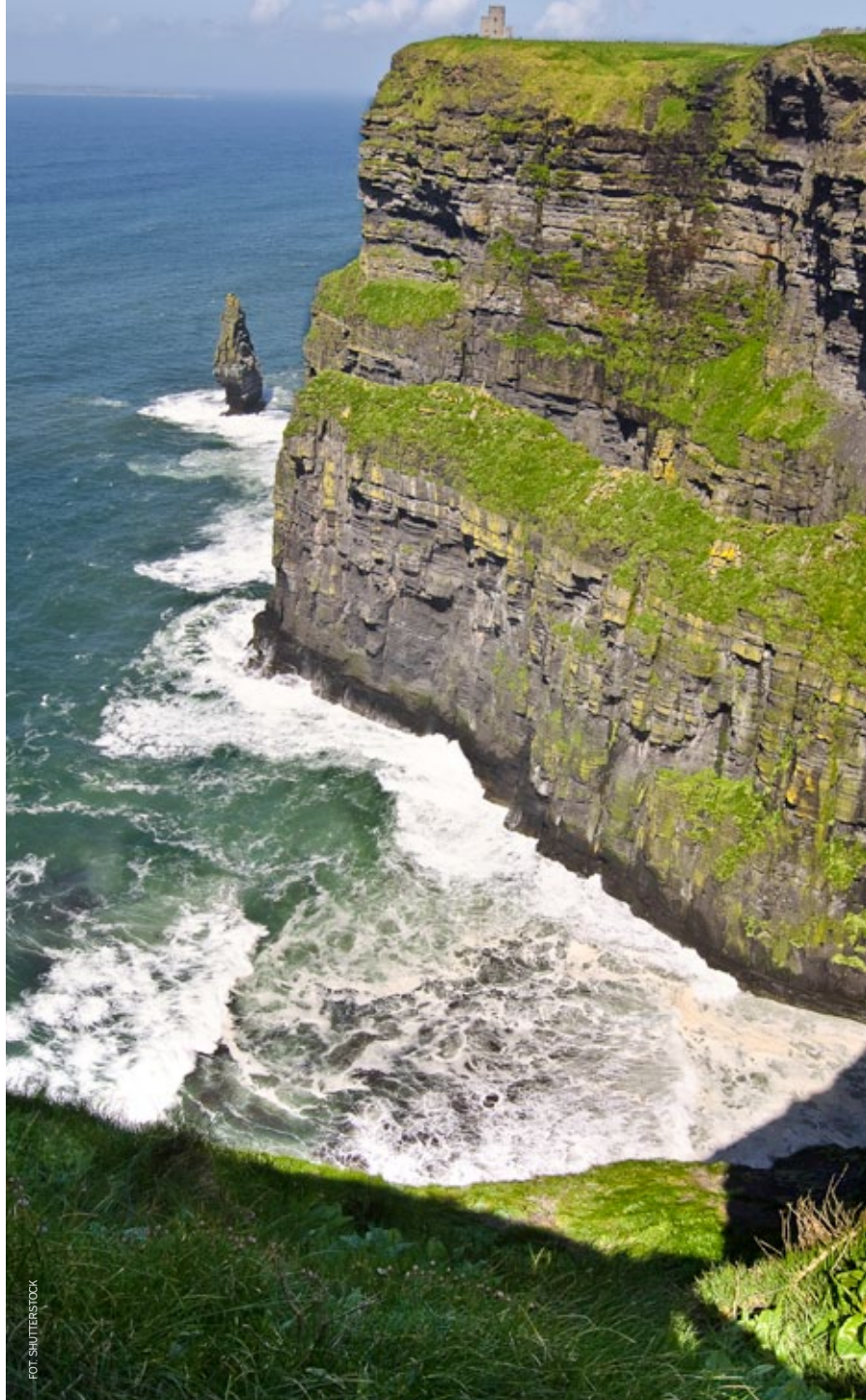
W Glendalough warto też wybrać się na wycieczkę po tajemniczych i wilgotnych górach Wicklow, gdzie można napotkać stada owiec pasących się na soczystych łąkach. W pobliżu oraz u podnóża gór jest kilka niewielkich zajazdów, które oferują tradycyjne dania ziemniaczane.

Prawdziwym hitem tej okolicy są różnego rodzaju purée z dodatkami. *Champ* jest wyjątkowo smaczną potrawą, której podstawę stanowią oczywiście gotowane ziemniaki utłuczone z masłem. Dodaje się do nich mleko oraz usmażonego na maśle i poszatkowanego pora. Z kolei *colcannon* bazuje na wcześniejszym przepisie, jednak wzbogaconym o pociętą gotowaną kapustę. Purée serwuje się na ogrzonym półmisku, w środku potrawy robi się zagłębienie i wlewa do niego roztopione masło.

Bogatszą wersją dań z ziemniaków jest zapiekanka pasterska *shepherd's pie* (przepis na str. 96). W glinianym garnku umieszcza się gulasz z mięsa mielonego i warzyw, a następnie przykrywa go warstwą ziemniaków oraz złotym serem. Tak przygotowane danie zapieka się w piecu i podaje, o dziwo, mimo dużej wartości ziemniaków, z frytkami.

## MIĘSNE ŻYCZENIE

Średniowieczny zamek Blarney wraz ze swoimi imponującymi ogrodami należy do najpopularniejszych zabytków Irlandii. Właśnie



FOT. SHUTTERSTOCK

tu jest eksponowany znany na całym świecie Kamień Elokwencji, który według legendy gwarantuje dotykającym go, że nigdy w życiu nie zabraknie im słów na żaden temat. Nieopodal zamku znajdują się także Schody Życzeń, po których należy wejść i zejść z zamkniętymi oczami, jednocześnie wypowiadając swoje marzenie.

Jeżeli chcemy, by nasze życzenie spełniło się w ciągu najbliższej godziny, warto pomyśleć o najwspanialszym daniu kuchni Irlandii,

### IRLANDZKI MOHER

Targane wiatrami i atlantyckimi falami Moherowe Klify wyglądają jak wyjęte z baśni. Na zachodnim wybrzeżu i północy wyspy mieszkańcy chętniej rozmawiają ze sobą po irlandzku niż angielsku.



FOT. GWAS - SHUTTERSTOCK

FOT. RADOŚLAW KOZUSZEK

### PÓLPENSOWY MOST

Dublin nie jest wielką metropolią, a większość atrakcji położona jest w centrum miasta.

Na zdjęciu kładka dla pieszych Ha'penny Bridge z 1816 r. Jej nazwa wzięła się od wielkości pobieranego niegdyś myta.

jakim jest gulasz *Irish stew* serwowany w restauracji nieopodal zamku. To baranina lub jagnięcina duszona z warzywami (kapusta, seler, groszek, cebula) w delikatnym rosole z suszonym tymiankiem. W celu wydobycia

najlepszego smaku baraniny gulasz dusi się długo i podlewa od czasu do czasu wodą. Bardzo często wrzuca się kilka dużych kawałków marchwi, ziemniaków czy pasternaku. Gulasz irlandzki nie ma jednego przepisu i w zasadzie każdy region przygotowuje go inaczej, jednak jego głównym składnikiem zawsze musi pozostać baranina lub jagnięcina.



FOT. RADOŚLAW KOZUSZEK

### KAWA Z RANA JAK ŚMIETANA

Kawa po irlandzku jest podawana w wysokich szklankach i oprócz mocnego espresso dodaje się do niej sporo whiskey, bitą śmietanę, wanilię oraz cukier.

### DUBLIN Z PROCENTAMI

Dublin, jak na stolicę przystało, oferuje odwiedzającym, czego dusza zapagnie. Oprócz średniowiecznych kościołów, odbudowanego zamku oraz uniwersytetu Trinity College, mieszczącego najbardziej znaną bibliotekę na świecie, można odwiedzić dzielnicę pubów Temple Bar bądź Guinness Storehouse, gdzie serwuje się najsłynniejsze ciemne piwo świata.



### Z CMENTARZA NA OBIAD

Średniowieczne ruiny cmentarza, kościoła i wieży obronnej w Glendalough. W okolicy można znaleźć kilka zajazdów, gdzie serwowane są tradycyjne staroirlandzkie dania.



## ZAPRASZAMY NA

Międzynarodowe Targi Kontraktacyjne dla Branży Sportowej

## SPORT-ZIMA

24-26 lutego 2017  
Szczyrk Hotel Orle Gniazdo

Potrzebujesz noclegu?  
Skontaktuj się z nami

CKIR Orle Gniazdo Szczyrk  
ul. Wrzosowa 28a, 43-370 Szczyrk  
tel.: 33 8 197 300, 33 8 197 400,  
repcja@orle-gniazdo.pl

Godziny otwarcia

24 lutego (piątek): 13.00 - 18.00  
25 lutego (sobota): 9.00 - 18.00  
26 lutego (niedziela): 9.00 - 14.00

specjalna  
oferta cenowa  
dla gości  
targowych

[www.zima-sport.pl](http://www.zima-sport.pl)

R E K L A M A

Jeżeli jednak pojawimy się w Dublinie 17 marca, mamy szansę wypić piwo zielone, które nawiązuje do koloru trójlistnej koniczyny – symbolu Irlandii. Jest ono wynalazkiem amerykańskim i oprócz tego jednego dnia w roku rdzenni Irlandczycy wolą zdecydowanie sięgać po tradycyjnego ciemnego guinnessa. Właśnie z dodatkiem tego gorzkawo-słodkiego trunku w stolicy Irlandii przygotowuje się jeden ze smaczniejszych gulaszów. W trakcie duszenia mięsa i warzyw wodę do podlewania zastępuje się piwem.

*Dublin coddle* to następne dość zaskakujące danie wymyślone w stolicy kraju. Potrawa składa się z warstwy gotowanych parówek wieprzowych i tłustego, smażonego bekonu z pokrojonymi w plasterki ziemniakami i cebulą. Wszystkie składniki są umieszczone w wywarze

z plasterków bekonu i kielbasek, a jedynymi przyprawami są przeważnie sól i pietruszka.

Dla amatorów mocniejszych trunków Dublin może okazać się rajem. Irlandzkie i szkockie whiskey są serwowane na całym świecie. Oczywiście wszystko smakuje najlepiej tam, gdzie zostało wytworzone, dlatego na degustację można udać się do najsłynniejszej irlandzkiej destylarni Jameson Distillery.

Jeżeli jednak 40-procentowa moc whiskey przewyższa nasze możliwości, to w ramach ukoronowania wyjazdu do Irlandii można wypić kawę. Ale nie byle jaką. *Irish coffee* jest świeżo zaparzoną espresso z sutym dodatkiem narodowego trunku oraz bitej śmietany i wanilii. Do takiej kawy idealnie pasuje podawane na ciepło czekoladowo-wiśniowe ciasto, oczywiście z gigantyczną porcją bitej śmietany. ☺

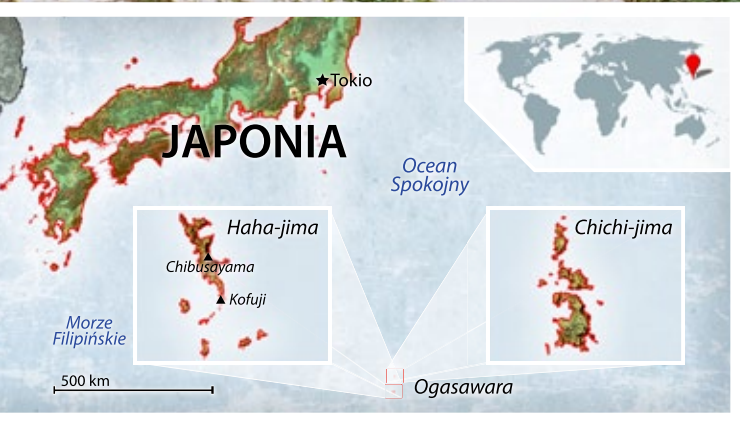


**Radosław Kożuszek**

Wykładowca akademicki. Prowadzi programy podróżnicze i kulinarne w Polskim Radiu PiK oraz Radiu Emaus. Autor licznych artykułów i przewodników turystycznych.



© iStockphoto.com





**PROJEKT NATURY**

Naturalny kamienny most na Minami-jima jest jedną z głównych atrakcji przyrodniczych archipelagu Ogasawara.

# CHICHI, HAHA...

**Wojciech Dąbrowski**



#### OBSERWATOR Z CHUO

Ze szczytu góry Chuo otwiera się szeroka panorama Chichi. Mała wysepka u jej wschodniego brzegu to bezludna Higashi-jima.

FOT. WOJCIECH DĘBROWSKI

Zdarzyło mi się przejechać z plecakiem wzdłuż całego, rozciągniętego na trzy tysiące kilometrów, łańcucha Wysp Japońskich. Już wtedy jednak wiedziałem, że ten kraj ma także małe wyspy, leżące poza tymi głównymi. To archipelag Ogasawara, którego jedyne dwa zamieszkane kawałki lądu noszą nazwy... Chichi i Haha.

**N**a żadnej z górzystych wysp archipelagu Ogasawara nie ma lotniska. Można się tam dostać wyłącznie drogą morską. Z przystani w Tokio średnio raz w tygodniu odpływa wysłużony pasażersko-towarowy statek Ogasawara Maru. Eksploatująca go kompania ma wprawdzie w internecie stronę z rozkładem rejsów, ale miejsca nie można sobie zapewnić na odległość. Są zatem dwa wyjścia: lecieć do Japonii z nadzieją, że jeszcze w dniu

wypłynięcia będą bilety na statek, lub znaleźć kogoś na miejscu, kto z wyprzedzeniem kupi je na wybrany dzień.

#### TYLKO NA LEŻĄCO

Już na godzinę przed odpłynięciem na nabrzeżu Takeshiba ustawiła się karna kolejka wsiadających. Pasażerów do wyższych klas wpuszczono jako pierwszych. Na górnym końcu trapu uśmiechnięty steward zabrał mi





## KOMFORT PO JAPOŃSKU

Koedukacyjna sypialnia dla 120 pasażerów na dolnym pokładzie statku pasażerskiego Ogasawara Maru zmierzającym w kierunku wysp Ogasawara.

wypełnioną kartę wyjazdową, a w zamian dostałem skrawek papieru z numerem C-105. Stałem z tą kartką w małym holu trochę bezradny. Pomógł mi skośnooki marynarz – zaprowadził do wielkiej sali na pokładzie C, gdzie nie było łóżek, lecz cienkie materacyki równo ułożone na podłodze rzędami obok siebie w odległości 20 cm. Na każdym z nich leżały pedantycznie złożone: mała i twarda, obciążona skajem poduszeczka, lekki pled oraz kartki z numerami. W mojej sali numerów było 120!

Czekała nas więcej niż doba żeglugi przez ocean. Wkrótce miałem się też przekonać, że na pokładach Ogasawara Maru nie bardzo jest gdzie siedzieć. W holu przy recepcji i piętro wyżej stało kilkanaście krzesłek, a na otwartym pokładzie – tylko dwie małe ławeczki. Zauważyłem też, że Japończycy podczas rejsu spędzają większość czasu w sypialniach pozbawionych okien, siedząc lub leżąc. Co kraj, to obyczaj... Gdy nadszedł wieczór, poszedłem do toalety i przebrałem się w pidżamę. Oni – nic takiego: spali w tym, co mieli na sobie.

Drugiego dnia żeglugi, po południu, na horyzoncie zamajaczyły górzyste wyspy wulkanicznego pochodzenia. To był ów tajemniczy archipelag Ogasawara! Na portowym nabrzeżu, przed budynkiem terminalu, czekały rodziny pasażerów i przedstawiciele kilku pensjonatów – z transparentami, na podstawie których my, turyści, mogliśmy ich zidentyfikować.

Po zejściu z trapu trzeba było starannie wytrzeć obuwie na zielonej wycieraczce

nasączonej jakimś płynem. Archipelag Ogasawara ze względu na swoją unikalną przyrodę został zaliczony przez UNESCO do światowego dziedzictwa przyrodniczego. Władze boją się przywleczenia z wielkich wysp Japonii niechcianych owadów, nasion i drobnoustrojów.

W pensjonacie Papaya, gdzie miałem zarezerwowany nocleg, obuwie zostawia się przed wejściem. W obiekcie nie ma restauracji, ale proponują gościom inne rozwiązanie: wieczorem skośnooka dziewczyna zaprowadzi do odległej o 100 m małej japońskiej jadłodajni. Moja pierwsza kolacja na Ogasawara to paluszki rybne z warzywami, kiełki i plasterki surowej ryby. Do tego dostałem świeżo ugotowany ryż w nieograniczonej ilości oraz drewniane pałeczki. Śniadanie serwowane następnego poranka było skromniejsze: połówka suchej wędzonej ryby, zupa miso, warzywa i oczywiście ryż.

## BONIN WHITE-EYE

To endemiczny gatunek ptaka z wysp Ogasawara. Jego charakterystyczną cechą jest biała obwódka wokół oczu otoczona czarnymi piórkami.





FOT. WOJCIECH DĄBROWSKI

**JEDYNY NA CHICHI**  
W zatoce Futami  
leży jedyny port na  
wyspie Chichi.

## CHICHI, TUTAJ ZESTRZELILI BUSHA

Na Chichi jest tylko jedna linia autobusowa, która prowadzi wzdłuż zachodniego wybrzeża. Chcesz wyrwać się dalej – musisz mieć samochód. Skorzystałem z oferty sympatycznego przewodnika Kunio Matsubary, który przewiózł mnie dookoła Chichi. Zostawialiśmy samochód przy drodze i wdrapywaliśmy się dla widoków na tutejsze najwyższe wzniesienia. Aż w końcu, u krańca leśnej drogi, na wzgórzu Hatsuneura zobaczyłem spory opuszczony bunkier z licznymi śladami od pocisków na ścianach. Potocznie jest nazywany bunkrem George’a Busha. Późniejszy prezydent USA uczestniczył jako pilot w ostrzeliwaniu Chichi-jimy z powietrza. Nie miał jednak szczęścia – jego samolot został trafiony i Bush wyskoczył z niego ze spadochronem nad oceanem w odległości kilku kilometrów od wyspy. Odnalazł go i przyjął na pokład amerykański okręt podwodny, co zostało uwiecznione na dokumentalnym filmie, wykorzystywanym po latach podczas jego kampanii wyborczej. Dokument pokazywały też wielokrotnie stacje telewizyjne w Stanach.

**GODY Z PŁYTKIEJ WODY**  
Corocznie w kwietniu  
ławice rekinów  
przyplývają na plażę  
wyspy Haha, aby odbyć  
tu swoje gody.

Kolejnego ranka recepcjonistka przyniosła ciekawą wiadomość: płyniemy polować na wieloryby! Oczywiście tylko z kamerą i aparatem fotograficznym. Wielkie morskie ssaki przyplývają na Ogasawara wiosną, by urodzić młode i uczyć je życia. Polscy przyrodnicy dla określenia wielorybów tego gatunku używają nazwy „długopłetwiec” albo nieco już spolszczonego słowa „humbak”. Dorosłe mają długość od 14 do 17 m i ważą od 30 do 45 t. Zbędną morską wodę wydmuchują pod tak wysokim ciśnieniem, że zamienia się ona w parę. Właśnie jej obłoki wytryskujące ponad fale ułatwiają lokalizację wielorybów. Podplýwaliśmy do nich nawet na kilka metrów, ale wielkie cielska znikwały szybko pod wodą, machnąwszy na pożegnanie płetwą ogonową.

Podczas wycieczki na pokładzie łodzi dyskretnie podpatrywałem, co Japończycy jedzą.



FOT. WOJCIECH DĄBROWSKI

Moje zainteresowanie zostało zauważone i pozwolili mi nawet sfotografować ich kanapkę ze sprasowanego ryżu, zawiniętą w rodzaj papieru ze spreparowanych morskich glonów. Oni zjadają te japońskie sandwiche razem z „papierem”! Potem poczęstowali i mnie – ryż zjadłem, ale od konsumpcji glonowego papieru udało mi się jakoś wykręcić.

## HAHA, KOCHAJĄ SIĘ NA PLAŻY

Z Chichi-jimy na Haha-jimę, drugą zamieszkaną wyspę archipelagu, pływa małeńki schludny stateczek Hahajima Maru. Na pokonanie 50 km potrzebuje ponad dwóch godzin. Gdy odbijał z portu na Chichi, na pokładzie było sześcioro pasażerów. Daje to jakieś wyobrażenie o tym, jak mało turystów trafia na zapomnianą, izolowaną Haha-jimę. Chichi-jima ma 2000 mieszkańców, Haha – zaledwie 400 i wszędzie na niej jest blisko. Gdy dotarliśmy do celu, z miniaturowego portu do jedyne go tutaj hostelu miałem zaledwie 200 m.

Pierwszego dnia wybrałem się pieszo na południowy kraniec wyspy, gdzie z góry Kofuji otwierają się niepowtarzalne panoramy wybrzeża. Drugiego dnia tropikalna ulewa uniemożliwiła mi wyjście na szlak. Dopiero trzeciego dnia pobytu na Haha wspiąłem się na Chibusayamę – najwyższy szczyt archipelagu. Ma tylko 462 m n.p.m., ale nawet z tej wysokości można już objąć wzrokiem niemal całą wyspę i docenić jej urodę: wysokie na ponad 100 m klify wschodniego wybrzeża, niedostępne półwyspy i skaliste wysepki, no i lazur oceanu.

Wracałem z Chibusayamy spocony i głodny, ale szczęśliwy. W drodze do hostelu wykupiłem w sklepiku cały zapas przywożonego z dalekiego Tokio chleba – sześć kromek zapakowanych w celofan. Kusiło mnie, aby jeszcze przed posiłkiem wskoczyć do ciepłej wody na przyporządowanej białej plaży. Okazało się jednak, że była już zajęta i to wcale nie przez plażowiczów... Nie mogłem uwierzyć własnym oczom – na płyciźnie, dwa metry od brzegu, gdzie normalnie w wodzie do kolan brodzą dzieci, kłębiło się wielkie stado rekinów! Najdłuższe okazy miały po półtora metra. Ustaliłem potem, że to żarłaczce grube. Nie atakują

człowieka. Ale co one tu robią?! – *Przypływają co roku o tej porze, aby się tutaj kochać!* – odparł ze śmiechem ekspert z pobliskiego Club Noah, agencji oferującej nurkowanie.

Z żalem powróciłem na Chichi, aby po dwóch dniach pobytu zjawić się z plecakiem przy trapie Ogasawara Maru. Na nabrzeżu zebrał nas tłum mieszkańców, powiewający flagami, bijący w bębny i trąbiący. Ale najbardziej spektakularny fragment tej ceremonii zaczął się dopiero wtedy, gdy statek odsunął się od kei i ruszył do wyjścia z portu. Koło nas pojawiła się „asysta” i aż na otwarty ocean towarzyszyła nam kawalkada oflagowanych motorówek oraz kutrów. Osłupiałem zupełnie, gdy załogi tych małych jednostek przy pełnej prędkości zaczęły popisywać się skokami do morza. Brawurowi nurkowie po wynurzeniu się na powierzchnię dalej machali rękami w kierunku naszego oddalającego się statku. – *Wróćcie na piękne Ogasawara!* Po takim pożegnaniu wielu zapewne wróci. ☺



**Wojciech Dąbrowski**

Gdańszczanin, inżynier telekomunikacji. Odbił 12 samotnych podróży dookoła świata – każda inną trasą. Odwiedził ponad 230 krajów na 7 kontynentach, w tym wszystkie uznane państwa świata. Zazwyczaj wędruje samotnie. Już w 1998 r. stworzył stronę [www.kontynenty.net](http://www.kontynenty.net), na której umieszcza relacje ze swoich podróży.

## POŻEGNANIE Z ASYSTĄ

Za każdym razem, gdy Ogasawara Maru odpływa do Tokio, żegna go kawalkada motorówek.



FOT. WOJCIECH DĄBROWSKI



Im bardziej stajemy się dorośli, tym więcej tracimy umiejętności: siedzenie do późna w nocy i gapienie się w gwiazdy, akrobacje na trzepaku, włóczenie się bez celu, konstruowanie łuków i sztafasów. W dorosłym życiu liczy się to, co może się przydać. Co jest użyteczne w robieniu kariery, zarabianiu pieniędzy albo budowaniu pozycji. To, co bezużyteczne, ląduje na śmietniku. Myślę, że my, dorośli, mamy wysypiska pełne skarbów.

**T**akie chodzenie po drzewach. Jako dzieciak spędzałem całe dnie, wisząc na gałęziach. Pewnie czułem się na drzewie niż na ziemi. Z kumplami urządzaliśmy zawody, kto obejdzie boisko bez dotykania stopą podłoża. Boisko było obrośnięte dookoła drzewami. Jak mały przechodziliśmy albo przeskakiwaliśmy z jednego na drugie. Nad trudniejszymi odcinkami debatowaliśmy jak inżynierowie z NASA nad wystaniem człowieka w kosmos. Kiedy zaczynał się sezon na owoce, łąziłem po drzewach w babcinym ogrodzie. Siedziałem na gałęzi, jadłem czereśnie, jabłka i gruszki. Kiedy spadały liście, obcinałem gałęzie, żeby dobrze obrodziły w przyszłym roku. Strzygłem drzewa jak fryzjer pudła.

Kiedy wspinałem się po drzewach, nie myślałem o następnym kroku, szedłem jak przecinak, na automacie. Straciłem to. I czuję się, jakbym stracił rękę albo ważny mięsień. Jestem biedniejszy.

Zdecydowałem, że czas to zmienić. Spędzę dzień na łażeniu po drzewach. Wsiadłem w autobus i pojechałem pod miasto, do lasu.



FOT. ŁUKASZ DŁUGOWSKI

Drzew było od groma, ale żadne nie nadawało się do wspinaczki. Brzozom gałęzie zaczynają się w koronie, bukom 3–4 metry nad ziemią, sosny mają gałązki, które nie utrzymałyby kurczaka. Chodziłem po lesie w poszukiwaniu drzew. W końcu znalazłem jedno na górze. Nie miałem pojęcia, jaki to gatunek, ale miało gałęzie na tyle nisko, że mogłem się na nie wdrapać.

Byłem nieporadny i niepewny. Fajtlapowaty. Straciłem dziecięcą pewność i płynność ruchów. Każde przełożenie nogi, każdy chwyt był powolny, ociężały i asekuracyjny. Bałem się, że złamię się pode mną gałąź, nie ważyłem już kilkudziesięciu kilogramów, ale prawie sto.

Nie wszedłem wysoko, na 2–3 metry, kolejne gałęzie były za wysoko. Ale już to pozwoliło mi zmienić perspektywę. Patrzyłem na świat z góry. Z dobrych kilkunastu metrów, bo drzewo stało na stoku górki. Uruchomiła się wyobraźnia. Poczuję się, jakbym stał na czatach, jakbym był częścią bandy Robin Hooda i wypatrywał, czy nie nadjeżdża karetka, którą warto byłoby obrobić.

Kiedy schodziłem, złamała się gałąź. Zamiast spaść, zawisłem na jednej ręce w powietrzu, uratowało mnie moje asekurantwo. Szukałem czegoś wyższego do zdobycia. Po pół godzinie wędrowania dałem za wygraną. Same buki. Stwierdziłem, że spróbuję. Na filmach przyrodniczych widziałem, jak dzieciaki wspinają się na palmy, które też nie mają gałęzi. Podobno sekret tkwi w tym, żeby stopy miały dobre oparcie. Tamte dzieciaki wiązały sobie kostki szmatą, ale podobno wystarczy mocno związać sznurówki butów. W ten sposób powstaje dodatkowy punkt oparcia, na którym można się wynieść wzwyż. W praktyce wygląda to jak wspinanie na linie, tylko że lina ma grubość drzewa. Trzeba mocno się przytulić do pnia, objąć go rękami i nogami i zapierając się stopami, wynosić się do góry.

Stękałem, zapierałem się, podskakiwałem – i nic. Nie ruszyłem się o centymetr wzwyż. Z boku to musiało wyglądać jak gwałt na drzewie.

Po kwadransie dałem spokój. Jedyny efekt był taki, że supeł na sznurówkach tak się zacisnął, że następny kwadrans spędziłem na jego rozwiązywaniu.

Zszedłem w dolinę rzeki, intuicja podpowiadała mi, że powinno tam być coś łatwiejszego. Były brzozy, krzaczory

R E K L A M A

i kilka gęsto obrośniętych gałęziami drzew. Wszedłem na wszystkie. Z każdym kolejnym rosła wysokość, na którą odważałem się wejść. W końcu jedynym ograniczeniem stała się grubość gałęzi, które mogły mnie utrzymać. Na ostatnim drzewie doszedłem do siedmiu metrów. Byłem cały umorusany: kurtka, spodnie i buty nadawały się tylko do prania. Gdyby tylko matka to widziała...

Nie bałem się tak jak na początku. Wraçały mi naturalne, swobodne ruchy. Jakby odradzały się we mnie mięśnie i instynkt. Z jednej strony czułem się głupio: 32-letni facet łączy po drzewach; z drugiej – byłem szczęśliwy. Beztroski. Robiłem coś, co nie miało absolutnie żadnego sensu, i było mi z tym dobrze. ○

### Informacje praktyczne:

- Miejsce: najlepiej stary sad owocowy czy miejski park albo las pod miastem. Szukaj drzew gęsto obrośniętych gałęziami.
- Co zabrać: ubierz się w rzeczy, których nie będzie ci żal, jeśli je zniszczysz i ubrudzisz.
- Koszty: brak.
- Poziom trudności: umiarkowany.

**Łukasz Długowski**


Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowyprawy

Podróż po zimowych Lofotach nie należy do najprostszyc. Jednego dnia spada pół metra śniegu, a drugiego można chodzić w samej bluzie. Na jednej wyspie szaleje śnieżycyca, a na drugiej panuje cisza. Wróciłem wysmagany przez wiatr i od razu wiedziałem, że czegoś mi brakuje. Gdy spojrzałem po czasie na zdjęcia, uświadomiłem sobie, że tęsknię za szumem fal.

Mikołaj Gospodarek

# FOTY Z LOFOTÓW

Marcowe słońce pojawia się z samego rana i ślizga po skałach do wieczora. Tak jak latem najlepiej tu być o zachodzie słońca, tak zimą odwrotnie – trzeba zjawić się o świcie.



Siedziałem w samochodzie przez kilka godzin. Najpierw padał deszcz, później śnieg, później znowu deszcz, a po wszystkim zaczęło wiać. Miałem problem z otwarciem drzwi. Jednak wiatr wyczyścił niebo, a światło pozwoliło na sfotografowanie plaży Unstad.

Najpiękniejsze w tych plażach jest to, że co kilka godzin zmienia się tu krajobraz. Sztorm czy większa fala – i wszystko wygląda inaczej. Te kamienie na plaży Uttakleiv wypatrzyłem dużo wcześniej i czekałem tylko, aż fale wyczyszczą ślady stóp dookoła.





---

Tu kończy się droga, a z klifu widać tylko wodę  
i wyspy w oddali. Do wsi przyjeżdża wiele osób,  
które marzą o zdjęciu pod tablicą z jej nazwą – Å.



Reine to niewielka wioska rybacka położona prawie na samym końcu Lofotów. Małe czerwone domki przyćpione do skał, a w tle bardzo malownicze góry.





---

Całą noc padał śnieg i rano ruch był niewielki. Nie chciałem jechać za pługiem, więc zatrzymałem się przy ogromnej zaspie. Z ciekawości zajrzałem, co kryje się za nią, i zobaczyłem ten widok.

Do sfotografowania plaży Uttakleiv ustawiają się kolejki. Powstają wtedy miliony podobnych zdjęć. Ja przyjechałem w to miejsce w deszczu i podczas sztormu. Byłem sam i spokojnie mogłem sfotografować ten „mały kamyk”.



---

Hamnøy to najświetniejszy widok Lofotów. Fotografuje się go... z mostu. Trudno znaleźć wolne miejsce przy barierce. To jedyna droga łącząca te wysepki, więc za plecami przejeżdżają ciężarówki.



---

Niepozorna, mała plaża Vik na trasie do wielkiej i słynnej Uttakleiv. Zimą trudno rozpoznać to miejsce, bo nie ma nawet parkingu. Jak jednak widać, warto tu trafić.



---

Na zorzę trzeba polować. Nauczyłem się tego właśnie na Lofotach. Ten wieczór był jednak wyjątkowy, a piękne zjawisko całkiem mnie zaskoczyło.



### **Mikołaj Gospodarek**

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Realizuje dużo projektów wieloletnich, wraca w niektóre miejsca cyklicznie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.

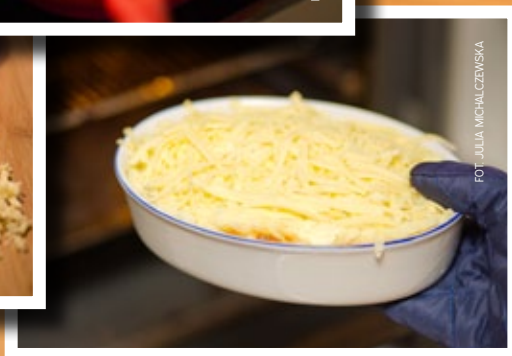
Jedzenie to nieodczuwalna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu,

podobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

**Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!**

**S**hepherd's pie, czyli zapiekanka pasterska, to jedna z odmian zapiekanki wiejskiej (*cottage pie*), w której wykorzystywano resztki różnego rodzaju mięs. Jednak do zapiekanki pasterskiej dodaje się głównie mięsa jagnięcego lub wołowego. Danie składa się z dwóch warstw – wierzchniej, z purée ziemniaczanego, oraz spodniej, potrawy z mielonego mięsa z dodatkiem cebuli, innych warzyw i przypraw.





🕒 1 GODZINA 🍴 4–6 OSÓB

# SHEPHERD'S PIE



## 📦 SKŁADNIKI:

- ½ kg jagnięciny (lub wołowiny)
- 2 średnie cebule
- 3 ząbki czosnku
- szklanka zielonego groszku (świeżego lub mrożonego)
- 2 średnie marchewki
- natka pietruszki
- szklanka bulionu
- 2 łyżki sosu worcestershire
- szklanka passaty pomidorowej
- łyżka słodkiej papryki mielonej
- kilka listków tymianku
- ½ kg ziemniaków
- jedna mała pietruszka
- 2 łyżki masła
- 3 łyżki mleka
- szklanka startego sera typu cheddar
- łyżeczka startej gałki muszkatołowej
- pieprz, sól do smaku

👉 Na dużej patelni zeszklić cebulę razem z marchewką i czosnkiem. Następnie dodać mielone mięso i smażyć, mieszając przez 5 min. Dodać przecier pomidorowy, bulion, groszek i sos worcestershire. Doprowadzić do wrzenia, zmniejszyć ogień i gotować przez 15 min pod przykryciem. Doprawić tymiankiem, solą, pieprzem, papryką i gotować jeszcze przez 5–7 min, aż większość płynu wyparuje. Ziemniaki razem z pietruszką ugotować w osolonej wodzie. Następnie rozgnieść na purée i dodać gałkę muszkatołową, masło, mleko, sól, pieprz i startą ugotowaną pietruszkę. Wymieszać wszystko na gładką masę. Mięso z warzywami włożyć do żaroodpornego naczynia i przykryć dość grubą warstwą purée z dodatkami i posypać startym serem. Piec ok. 15 min w temperaturze 180°C, a potem dodatkowo przez 5 min na termoobiegu, aby ser na wierzchu się zarumienił.



# SPADEK PO KARA MUSTAFIE

W Boże Narodzenie kanał Discovery Historia zaprosił widzów do Café Sperl, jednego z najstarszych lokali tego typu we Wiedniu (działa od 1880 r.) na degustację kawy z croissantami. Jego prezydent, angielski pisarz, historyk i podróżnik Julian Davison przypomniał, jak niespodziewany łup polskich husarzy zdobyty podczas odsieczy wiedeńskiej w obozie wezryra Kara Mustafy przyczynił się do powstania pierwszej wiedeńskiej kawiarni.

**B**ył to jeden z najciekawszych odcinków serialu „Ottomans versus Christians”, zrealizowanego w 2016 r. przez brytyjskich filmowców. Przedstawiał on ostatnią wielką turecką wyprawę na Europę, w czasie której raz na zawsze załamało się marzenie sułtanów o zdobyciu całego naszego kontynentu. Nie spodziewanie przyniosła ona europejski triumf nie wojsku osmańskiemu, ale tureckiej kawie.

Kawiarnia nosiła nazwę Dom pod Niebieską Butelką, a jej właścicielem był Jerzy Franciszek Kulczycki, nasz rodak, w Austrii znany jako Georg Franz Koltschitzky. Postać owiana legendą. Jedna z opowieści głosi, że 330 worków z ziarenkami, które nasi husarzy uznali początkowo za karmę dla wielbłądów, podarował Kulczyckiemu

Jan III Sobieski. Brak na to potwierdzeń, ale z pewnością była to polska zdobycz. Rodzina Sobieskich pochodziła z tych samych stron, co rodzina Kulczyckich.

## Czy kawę można nakleić na list?

W 2009 r., w czasie jednej z rocznic historii wiedeńskiej, Poczta Polska wprowadziła do obiegu znaczki, na którym umieszczono wizerunek Kulczyckiego, z przywieszką przedstawiającą filiżankę parującej kawy. Zestaw pokryto lakierem o zapachu tego napoju.

W Urzędzie Poczтовым Kraków I w pierwszym dniu emisji pachnące znaczki można było ostemplować datownikiem na kopercie przedstawiającej przyznanie przez cesarza Leopolda I pierwszemu austriackiemu kawiarzowi przywileju parzenia napoju z ziaren Kara Mustafy. Na pieczętce widniał napis: „Ślady polskie w Europie”.

## Gdy zabrakło kapitolinińskich gęsi

Davison przytoczył w programie także inną legendę, mówiącą, że przez cały czas oblężenia nieopodal murów otaczających wiedeńskie Stare Miasto funkcjonowała piekarnia, która karmiła mieszkańców austriackiej stolicy i jej obrońców. Piec rozpalano nocą, aby nie zdradzić dymami jej położenia. Znajdowała się w zasięgu tureckiej artylerii. Ciasto mieszane było w podziemnych skalnych korytarzach oraz niszach sięgających fortecznych obwałowań, w których przedtem przechowywano wino i żywność.

Pod mury podkopywali się tureccy saperzy, którzy także prowadzili prace nocą. Program „Imperium Osmańskie kontra chrześcijaństwo” przedstawił to w sfabularyzowanej dokrętkę. Tak jak Rzym uratowały gęsi kapitolinińskie, które usłyszały zbliżających się nocy wrogów i podniosły

krzyk, tak Wiedeń uratowały bębny, na których rozsypano groch. Każde uderzenie kilofa w skałę powodowało wibrację, która podrzucała groch. Dzięki temu można było zawczasu niszczyć podkopy.

Ta sama piekarnia, jak twierdzi Davison, na cześć zwycięstwa nad Turkami wymyśliła chrupiącego rogała w kształcie zwiniętego półksiężyca, który stanowi znakomite dopełnienie tureckiej kawy. Blisko sto lat później został sprowadzony do Paryża (gdzie nazwano go croissantem) przez królową Marię Antoninę Austriaczkę, żonę Ludwika XVI Burbona. Tę samą, którą zgilotynowano w czasie rewolucji francuskiej w 1793 r. Przedtem miała poradzić swoim najbardziej poddanym, żeby jedli ciastka, skoro nie stać ich na chleb. Czyżby miała na myśli croissantsy? Takie jak te, które w Café Sperl zamówił do kawy po turecku Julian Davison, niezbyt świadomy tego, że wiedeńczycy wolą Apfelstrudel, cienko rozwałkowane i zwijane jak nasz makowiec ciasto z jabłkami pieczone z dużą ilością masła.

## Kompania oberzystów

Z chwilą oblężenia Wiednia Kulczycki zaciągnął się do kompanii oberzystów mających zagwarantować wyżywienie Wiedniowi (stan zdrowia nie pozwalał mu na walkę z bronią w rękę). Kiedy po pięciu tygodniach oblężenia miasto zamierzało się już poddać, pozbawione dopływu żywności, broni i amunicji, zgłosił się na ochotnika do wyprawy na tyły wroga dla nawiązania kontaktu przez burmistrza Wiednia i dowodzącego obroną miasta generała Ernsta von Starhemberga z księciem lotaryńskim Karolem V Leopoldem, który zbyt wolno zbierał armie śpieszące z odsieczą.

Kulczycki przebrał się za osmańskiego żołnierza i wyostał się poza mury stolicy wraz z serbskim służącym Dorde Michajlovićem. Przez obóz wroga przeszli, śpiewając tureckie piosenki i rozmawiając po turecku. Gorzej wiodło się im na tyłach sułtańskich wojsk. Zostali



Pachnący kawą znaczek Poczty Polskiej poświęcony Kulczyckiemu (2009).

ostrzelani przez austriackich chłopów jako domniemani żołnierze Kara Mustafy. Spełnili wzorowo misję. Przywieźli pisemną obietnicę Lotaryńczyka, że przyspieszy marsz oraz cenne informacje o dyslokacji i sile wojsk tureckich oblegających od zachodu najważniejsze miasto Austrii.

## Kawiarnia Kulczyckiego

W Wiedniu powitano ich owacyjnie. Rada Miejska nagrodziła Kulczyckiego znaczną sumą pieniędzy. Od burmistrza dostał nieruchomość. Zwolniono go od podatków przez okres 20 lat. Jego kawiarnia mieściła się przy Schlossergasse niedaleko katedry (niektóre źródła podają, że przy Domgasse). Serwował w niej kawę przyodzianą w turecki strój. Przypisuje mu się pomysł dosładzania jej miodem i doprawiania mlekiem. Jako pierwszy w Wiedniu podawał ciastka



Kulczycki jako tłumacz austriackiej Wschodniej Kompanii Handlowej w Belgradzie (1661–1665).

w kształcie półksiężyców, które podpatrzył u niego Peter Wendler, właściciel wspomnianej piekarni. Kawiarnią nie cieszył się długo, gdyż wkrótce otrzymał godność cesarskiego tłumacza języka tureckiego. Sprzedał lokal w 1685 r.

W 1700 r. (lub 1703) powstała pierwsza kawiarnia w Salzburgu, którym rządzący arcybiskupi. Koncesję na serwowanie kawy w tym mieście otrzymał od jednego z nich Jean Fontaine, pochodzący z Sabaudii. Ta kawiarnia działa do dzisiaj pod

nazwą Café Tomaselli. W 1816 r. Salzburg został włączony do monarchii Habsburgów. Dziś zatem jest to najstarsza kawiarnia w Austrii.

Za życia Kulczyckiego (zmarł w 1694 r.) istniały kawiarnie w kilku krajach. Do Europy przywieziono ze Stambułu kawę oraz tygielki do jej parzenia w 1644 r. Pierwsze kawiarnie powstały w XVII w. w Marsylii, Paryżu, Londynie, Oxfordzie i Wenecji. W XVIII w. rozpowszechnił się zwyczaj picia kawy w Polsce. Lokale, w których ją podawano, nazywano *kafenhausami*. Wiadomo, że kawę pijał Jan III Sobieski, który prawdopodobnie uszczknął dla siebie kilka worków Kara Mustafy.

## Człowiek o wielu życiorysach

W XIX w. Kulczycki był już postacią historyczną. W 1862 r. uczczono jego pamięć, nadając nazwę Kolschitzkigasse jednej z ulic Wiednia. Trzy lata później właściciel kawiarni na rogu Kolschitzkigasse i Favoritenstrasse przyozdobił dom pomnikiem Kulczyckiego w stroju kawiarni tureckiego. W późniejszych latach właściciele stołecznych kawiarni zaczęli obchodzić w październiku Kolschitzky Fest, dekorując okna swoich lokali portretami patrona święta.

W Austrii Kulczycki jest uważany za Austriaka polskiego pochodzenia, który trafił do Wiednia z Serbii po licznych podróżach i przygodach. W celach handlowych odwiedził niemal wszystkie bałkańskie kraje należące do Imperium Osmańskiego i Cesarstwa Habsburgów. W latach 1661–1665 był tłumaczem języków tureckiego i węgierskiego w belgradzkim kantorze austriackiej Wschodniej Kompanii Handlowej. Wtedy biegle opanował serbski. W 1663 r. znalazł się w austriackiej misji dyplomatycznej w Stambule jako kurier i tłumacz, który miał zbierać informacje o armii tureckiej.

W 1678 r., kiedy władze austriackie zaczęły usuwać z państwa Serbów i przybyszów z Serbii, podejrzewanych o szpiegowania dla Turcji, legitymował się polskim pochodzeniem. Zadeklarował, że urodził się w Kulczycach blisko Sambora jako syn szlachcica herbu Sas, Polaka i katolika. Obecnie Sambor znajduje się w obwodzie lwowskim na Ukrainie. Niektóre



Kulczycki w stroju tureckim w swojej kawiarni w Wiedniu (1684).

źródła podają, że Kulczycki brał udział w polskich interwencjach wojskowych na Bukowinie i w Mołdawii. Pod koniec odsieczy wiedeńskiej miał się zaciągnąć do wojska dowodzonego przez Jana III Sobieskiego.

Na pewno można mu przypisać kilka życiorysów. Zmarł prozaicznie, na gruźlicę, w wieku 54 lat. Pochowany został w Wiedniu. Ród Kulczyckich miał wiele rozgałęzień. Wydał ludzi zasłużonych dla Polski w dziedzinie nauki i kultury. Było wśród nich dwóch znanych podróżników. Adam Joachim Kulczycki urodzony w 1809 r. w Puławach, zmarły w 1882 r. na Tahiti, gdzie zorganizował obserwatorium astronomiczne i meteorologiczne oraz Anatol Mamert Kulczycki (1879–1962) inżynier górnik, geolog i hydrolog, badacz Azji Środkowej, Kazachstanu i Tienszanu oraz pogranicza Rosji i Mongolii. ○

### Ryszard Badowski

Dziennikarz, podróżnik, operator filmowy, fotograf, pisarz, autor programu telewizyjnego „Klub sześciu kontynentów”. Pierwszy Polak, który dotarł na wszystkie kontynenty. Autor ponad 100 filmów i kilkuset artykułów o tematyce podróżniczej oraz 16 książek. Z miesięcznikiem *Poznaj Świat* jest związany od 59 lat.

# Zima trzyma

Wysokie mrozy zapowiadają w tym roku dłuższą zimę, niż bywała w poprzednich sezonach. Stwarza to okazję do częstszego odwiedzania stoków narciarskich, górskich szlaków i do innych zimowych aktywności. Przygotujmy się odpowiednio do panującej aury.



Cena: ok. 530 zł  
[www.dare2b.com](http://www.dare2b.com)

## KOMFORTOWA ZABAWA DARE 2B ROUSE UP JACKET

Wygodna, ciepła, lekka, a przy tym niezwykle wytrzymała kurtka narciarska dla dzieci zapewnia uczucie swobody podczas zimowych aktywności. O ochronę przed deszczem i śniegiem dba oddychający i elastyczny w czterech kierunkach materiał Ared VO2 15000 zabezpieczony powłoką odpychającą wodę i podklejonymi szwami. Ochronę przed śniegiem wzmacniają dodatkowo: kaptur z elastycznymi elementami, ściągacze na mankietach oraz wzmacniany fartuch śnieżny. Przed przenikliwym zimnem i wiatrem zabezpiecza poliestrowa izolacja High Loft. Liczne kieszenie pomieszczą niezbędne drobiazgi. Aby zwiększyć widoczność i bezpieczeństwo po zmroku, kurtkę wyposażono w odblaskowe elementy.



Cena: ok. 1600 zł  
[www.olympus.pl](http://www.olympus.pl)

## WIELKA FUNKCJONALNOŚĆ OLYMPUS TG TRACKER

Zimowe zabawy można zarejestrować nie tylko na wideo, ale również zapisać ślad GPS, przeciążenia, prędkość oraz przewyższenia. Wszystko to robi jedno urządzenie – Olympus TG-Tracker, czyli najnowsza kamera sportowa. Wyposażona jest też w 5-osiową stabilizację, WiFi, wyświetlacz oraz najszybszy obiektyw w klasie kamer sportowych.

## TRADYCJA + NOWOCZESNOŚĆ MEINDL ALTAI GTX®

To model wyprodukowany z okazji 35 lat współpracy firm Meindl oraz W.L. Gore. Nawiązuje do pierwszych w historii butów z membraną GTX®. Dzięki technologii MFS i zastosowanej piance pod wpływem ciepła cholewki dopasowują się do kształtu stóp. Podeszwa marki Vibram zapewnia komfort oraz wygodę użytkowania w zróżnicowanym terenie. Buty mają bardzo klasyczny, stonowany design – z pewnością znajdzie wielu fanów.



Cena: ok. 1060 zł  
[www.meindl.pl](http://www.meindl.pl)

Cena: ok. 35 zł  
[www.varta-consumer.pl](http://www.varta-consumer.pl)



## BĄDŹ WIDOCZNY PO ZMROKU VARTA OUTDOOR SPORTS REFLECTIVE LED BAND

Opaska łączy funkcję oświetlenia i odblasku. Dwie 5-milimetrowe diody LED świecą na czerwono i razem z odblaskowym materiałem gwarantują wysoki stopień widoczności. By zwiększyć go jeszcze bardziej, użytkownicy mogą wybrać tryb stroboskopowy. Opaska jest wodoodporna (IPX4), a jeżeli ulegnie zabrudzeniu, można ją łatwo uprać. Jest elastyczna i ma zapięcie na rzep, co pozwala łatwo dopasowywać rozmiar – nawet dłońmi w rękawiczkach. Opaska Outdoor Sports Reflective LED Band jest idealna dla rowerzystów oraz biegaczy.

sprawdź ceny

ceneria.pl  
outdoorowa porównywarka cen

Cena: ok. 350 zł  
[www.decathlon.pl](http://www.decathlon.pl)

## RUSZAMY NA ZIMOWE SZALEŃSTWO TAURUS SNOWUP 400

SnowUp 400 to uniwersalny uchwyt na narty do samochodu, który zmieści 4 pary nart zjazdowych, 3 pary nart carvingowych lub 2 deski snowboardowe. Montuje się go szybko i łatwo bez użycia narzędzi. To hit sprzedaży ubiegłego sezonu zimowego.



Cena: ok. 265 zł  
[www.taurus.info.pl](http://www.taurus.info.pl)

## W PODRÓŻ I W GÓRY QUECHUA EASYFIT 50L

Lekki plecak na kilkudniowe wędrówki ze średnim obciążeniem. System EasyFit umożliwia dobre dopasowanie. Ma trzy kieszenie zewnętrzne, jedną wewnętrzną i jedną w pasku oraz uchwyty na kije trekkingowe lub czepek. Waży 1,75 kg, a jego wymiary to: wys. 67 x szer. 28 x gł. 26 cm. Producent daje na niego 10 lat gwarancji.



## DLA BEZPIECZEŃSTWA I WYGODY MOUNT TRACK VERIGA

To elastyczne raczki na buty. Czternaście zębów z hartowanej stali oraz łańcuch ze stali nierdzewnej zapewniają bardzo dobrą przyczepność do podłoża. Wystarczy założyć je na podeszwę i zaciągnąć taśmę. Raczki są dyskretne, praktyczne i łatwe w użyciu. Są przeznaczone do poruszania się w górskim terenie zaśnieżonym lub zalodzonym. Nie nadają się do alpinizmu wyczynowego. Wygodne przechowywanie i transport zapewnia dostarczana w komplecie saszetka, wyposażona w szlufki na pasek oraz karabinek. Dostępne rozmiary: S (33–36), M (36–41), L (41–44,5), XL (45–48).



Cena: ok. 150 zł  
[www.amc.krakow.pl](http://www.amc.krakow.pl)

## CIEPŁE I STYLOWE KAMIK HARPER

Harper to klasyczny model damskich śniegowców zaprojektowany przez specjalistów z Kamika – słynnej kanadyjskiej firmy outdoorowej od niedawna obecnej w Polsce. Harper to wodoodporne zimowe obuwie o szerokim spektrum zastosowań, w którym miejski charakter łączy się z outdoorowym zacięciem. Cholewka jest wykonana z połączenia skóry i materiału na bazie flauszu, z wykończeniem w postaci pluszowego futerka. Nowoczesna technologia z zastosowaniem mikrowłókien 3M™ Thinsulate™ zapewnia dużą oddychalność i ciepło w zróżnicowanych warunkach atmosferycznych, w tym nawet przy temperaturze –40°C. Przyczepność do podłoża gwarantuje wykonana z syntetycznego kauczuku antypoślizgowa podeszwa zewnętrzna Peak. Z kolei podeszwa wewnętrzna jest wykonana z pianki EVA, dzięki której stopa jest dobrze izolowana i świetnie amortyzowana w czasie ruchu.



Cena: ok. 550 zł  
[www.ravenco.eu](http://www.ravenco.eu)

## LEKKOŚĆ I KOMPLEKSOWA OCHRONA VICTORINOX AVOLVE 3.0

To kolekcja lekkich i niezwykle wytrzymałych walizek z twardym stelażem z poliwęglanu i miękką nylonową powłoką. Wyróżnia je łatwość manewrowania dzięki kółkom obracającym się o 360°, zewnętrzne przegrody szybkiego dostępu, zapinane na zamek poszerzenie i praktyczna organizacja wnętrza. Walizki Avolve 3.0 są dostępne w sześciu rozmiarach, w kolorach czarnym i niebieskim.



Cena: ok. 1200–2000 zł  
[www.victorinox.com/pl](http://www.victorinox.com/pl)

## POZNAJ ŚWIAT Z BLISKA VORTEX DIAMONDBACK 8 × 42

Lornetka Vortex Diamondback 8 × 42 zapewnia 8-krotne powiększenie, które jest najczęściej wybierane do celów turystycznych.

Jej kompaktowe rozmiary i niewielka waga sprawiają, że zmieści się do plecaka, a noszona na szyi nie będzie ciężka. Zastosowanie warstw antyrefleksyjnych sprawia, że obraz jest znacznie jaśniejszy, a kolory bardziej naturalne. Zestaw zawiera pokrowiec, komplet zakrywek, pasek na szyję i chusteczkę do czyszczenia optyki. Lornetka jest objęta dożywotnią gwarancją Vortex VIP.



Cena: ok. 1000 zł  
[www.kolba.pl](http://www.kolba.pl)



Cena: ok. 975 zł  
[www.genesisgear.pl](http://www.genesisgear.pl)

## JAKOŚĆ I PRECYZJA GENESIS BASE C5 KIT

Zestaw C5 Kit składa się ze statywu Genesis Base C5 i głowicy kulowej BH-40. Wykonany z włókna węglowego statyw charakteryzuje mała waga, wysoka wytrzymałość na uszkodzenia, długoletnia żywotność, duży udźwieg i ciekawy design. Uszczelnione kryzy łączące ze sobą poszczególne sekcje nóg zapobiegają dostawianiu się do środka wilgoci i zanieczyszczeń. Długości nóg są regulowane za pomocą trzech pierścieni. Metalowe kolce w stopkach zwiększają stabilność na miękkim gruncie, a gumowe nasadki zapewniają przyczepność na śliskim podłożu. Również kolumna centralna jest regulowana pierścieniem. Statyw ma sprężynowy hak do podwieszania obciążenia stabilizującego. Zaletą zestawu jest możliwość przekształcenia jednej nogi w praktyczny monopod.

## UNIKATOWY PAKIET PRZETRWANIA LIOFILIZAT TREK'N EAT EMERGENCY FOOD WEGE

To innowacyjny na polskim rynku, 20-elementowy pakiet żywności liofilizowanej niezbędnej do przetrwania w najtrudniejszych warunkach.

Stworzony został z myślą o dostarczeniu wysokokalorycznego pożywienia w skrajnych sytuacjach. To idealna propozycja dla kogoś znajdującego się w surowych warunkach terenowo-klimatycznych. Użytek z niego będą mieli żołnierze, podróżnicy, alpinści czy fani survivalu. Dostępny jest w dwóch wersjach: ogólnej oraz wegetariańskiej, każda zawiera 20 osobno pakowanych, liofilizowanych dań o wysokiej wartości kalorycznej – odpowiednio 11 025 oraz 10 642 kilokalorii (kcal).



Cena: ok. 450 zł  
[www.ravenco.eu](http://www.ravenco.eu)

## AKU SUPERALP GTX

To bardzo wygodne i stabilne buty trekkingowe o średniej twardości. Wyglądają bardzo klasycznie i dobrze spisują się na karpackich czy alpejskich szlakach, podczas długich wycieczek w skalnym terenie i nie tylko, zwłaszcza kiedy ciąży duży plecak.



Cena: ok. 900 zł  
[www.ravenoutdoor.com](http://www.ravenoutdoor.com)

Buty są wykonane z wytrzymałego zamszu. Zamszowo-nylonowa cholewka wraz z dokładnym systemem sznurowania należycie dopasowuje je do kształtu stopy. Gumowy otok na całym obwodzie buta wydłuża jego żywotność oraz dość dobrze chroni palce przed obiciem i ostrymi kamieniami na szlaku. Język został przyszyty do cholewki na wysokości kilkunastu centymetrów od podłoża, więc na taką głębokość można zanurzyć but w górskim strumieniu, a woda nie wleje się przez koronę. Od



FOT. EWA MEDZIŃSKA

wewnątrz but ma miękkie wypełnienie, dzięki czemu nawet podczas długich wędrówek nie uwiera.

W powłoce zewnętrznej zastosowano membranę goretexową oraz innowacyjną tkaninę Air 8000. To pierwszy z dwóch systemów stosowanych przez AKU w celu nadania obuwiu oddychalności. Wykorzystuje tkaninę, której poziom oddychalności wzrasta w ciągu 24 h, przewyższając konwencjonalne materiały nawet o 11 razy. Technologia Air 8000 została opracowana i opatentowana przez AKU w 1991 r. i do tej pory pozostaje jedną z najnowocześniejszych. Jest stosowana równolegle z drugim równie ważnym rozwiązaniem konstrukcyjnym – technologią Air Infinity, w której cholewka jest wykonana systemem warstwowym. Podstawową warstwę stanowi perforowany mikromateriał, który jest o 30% lżejszy i bardziej oddychający od skóry. Drugą warstwę tworzy nieprujący się materiał o trój-



FOT. EWA MEDZIŃSKA



FOT. EWA MEDZIŃSKA

wymiarowej strukturze i wyjątkowych właściwościach zwiększających oddychalność. Te dwie niezależne warstwy zostały połączone punktowo, by pozostawić obszar swobodnej wentylacji.

But waży około 700 g. W kategorii obuwia trekkingowego to waga typowa, przy której nie odczuwa się zbyt mocno wielogodzinny marsz. Amortyzowana podeszwa o średniej twardości pozwoli na wielogodzinne wycieczki po zróżnicowanym terenie. Anatomiczne wyprofilowanie nie męczy stopy podczas płaskich podejść, a także stabilizuje ją podczas technicznych fragmentów trasy. Podeszwa buta ma bieżnik, który ma zapewnić jak najlepszą stabilizację i wsparcie podczas marszu i dawać dobre

wycucie podłoża, zwłaszcza przy solidnym obciążeniu plecakiem. Podeszwa gwarantuje niesamowitą przyczepność w bardzo wymagającym terenie, nawet mokrej skale. Podwójnie zagęszczany poliuretan zwiększa komfort użytkowania i tłumi wstrząsy nawet na najgorszym szlaku. Jak widać, każdy drobiazg ma znaczenie. Buty są dość ciepłe. Wraz z odpowiednią skarpetą nie odczuwa się chłodu nawet po całym dniu brodenia w śniegu po kostki. Co najważniejsze, buty nie wilgotnieją, a stopy pozostają suche. Średnia twardość podeszwy sprawia, że znakomicie współpracuje z rakami paskowymi i koszykowymi, co jest nieodzowne w górskim terenie w warunkach zimowych.

Dopracowane w każdym szczególe AKU Superalp GTX spełnia wymagania entuzjastów trekkingu, dla których normą są długie wędrówki z ciężkim plecakiem. Polecałbym je do tradycyjnego trekkingu, podejść pod ściany, a nawet na via ferraty. Znakomicie sprawdzą się podczas wszelkich aktywności górskich, także w niekorzystnych warunkach atmosferycznych. To górski model przeznaczony do zadań specjalnych. Aby mieć absolutną pewność, że nie przemokną po wielodniowym brodeniu w głębokim śniegu, warto je zaimpregnować w sprayu.

**Test: Grzegorz Miedziński**



FOT. EWA MEDZIŃSKA

## Śnieżny patrol

Narciarstwo w Policji Państwowej w II Rzeczypospolitej było silnie propagowane, nie tylko w formie sportu. Konieczność szkoleń wynikała z zagrożeń podczas zimowej służby w rejonach górskich oraz z walki z przestępczością. Pierwszym ośrodkiem szkolenia była Szkoła Wysokogórska w Zakopanem, gdzie kierowano na początku tylko kadre oficerską. Narciarstwo szybko stało się jednym z najpopularniejszych sportów uprawianych w policji – najpierw w ramach sekcji działających przy Policyjnych Klubach Sportowych, a później w formie kursów. Organizowano je najczęściej w Zakopanem, Skole, Łucku i Worochcie, natomiast dla funkcjonariuszy z województwa śląskiego – w Wiśle, Szczyrku i Istebnej. Podczas dwutygodniowych kursów prowadzono wykłady, ćwiczenia z jazdą w terenie oraz uczono musztry na nartach. Na kursy byli kierowani wszyscy policjanci, od posterunkowych do komisarza. Pierwsze próby z użyciem nart w służbie policyjnej przypadają na 1925 rok.

Na zdjęciu kurs narciarski dla Policji Państwowej w Zakopanem w 1930 r. Z lewej kierownik kursu, przodownik Marian Joniec z komisariatu w Zakopanem.

ZA INFORMACJĘ DZIĘKUJEMY: GRH POSTERUNEK  
POLICJI PAŃSTWOWEJ POWIATU NOWOTARSKIEGO  
W NOWYM TARGU





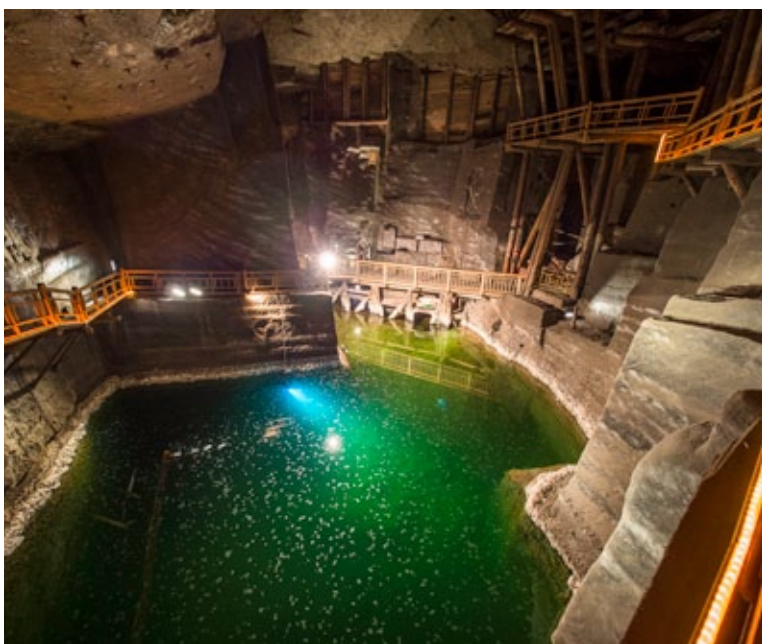


© J. HARBOWSKI / WUJ / C.F.P.O.

W najbliższych numerach...



## MAROKO – BŁEKITNE MIASTO SZAFSZAWAN



## POLSKA – NURKOWANIE W WIELICZCE



## CHINY – W CIENIU NEFRYTOWEGO SMOKA

# Poznaj Świat

## MIESIĘCZNIK

**Redaktor naczelna**  
Katarzyna Rojek  
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

**Zastępca redaktor naczelnej**  
Dariusz Małkowski  
dariusz.malkowski@poznaj-swiat.pl  
tel. 535 444 980

**Sekretarz redakcji**  
Julia Michalczyńska  
redakcja@poznaj-swiat.pl  
tel. 535 444 990

**Zespół i współpracownicy**  
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Marcin Dobas,  
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,  
Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legiejć,  
Magdalena Żelazowska

**Grafika & DTP & Prepress**  
Maciej Jurkowski, Julia Michalczyńska

**Korekta**  
Joanna Lewandowska

**Adres redakcji**  
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17  
redakcja@poznaj-swiat.pl  
www.poznaj-swiat.pl

**Wydawnictwo**  
PROBIER sp. z o.o.  
80-180 Gdańsk, Kowale ul. Glazurowa 7

**Koordynator do spraw wydawniczych**  
Beata Pernak  
prenumerata@poznaj-swiat.pl

**Jak zamówić prenumeratę?**  
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

**PRENUMERATA KRAJOWA**  
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004  
posiadacz rachunku PROBIER

**PRENUMERATA ZAGRANICZNA**  
mBank SA, Gdańsk, ul. Wąty Jagiellońskie 8  
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004  
SWIFT BREXPLPWGDA

 [facebook.com/miesiecznikpoznajswiat](https://facebook.com/miesiecznikpoznajswiat)

**Reklama outdooru**  
Grzegorz Miedziński  
tel. 501 641 706

**Reklama świata**  
Aleksandra Musiał  
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.

# Miesięcznik, który uzależnia od czytania i podróży



## Mnóstwo prezentów w prenumeracie

- płacisz za 10 numerów, dostajesz **2 gratis**
- każdy numer trafi **wprost do Twojej skrzynki**
- wybierz jeden z **75 prezentów**: książki, przewodniki, gry
- **darmowa** dostawa
- prenumerata roczna **tylko 109 zł**

Prezenty zobacz tu: [www.poznaj-swiat.pl/prenumerata](http://www.poznaj-swiat.pl/prenumerata)

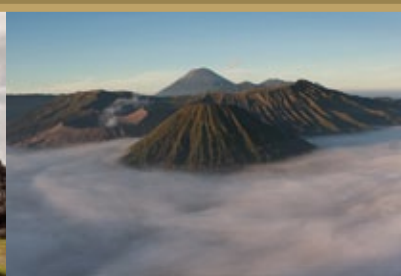
Jak zamówić prenumeratę? Telefonicznie: 583508464 lub przez stronę internetową [www.poznaj-swiat.pl/prenumerata](http://www.poznaj-swiat.pl/prenumerata).

Numer konta: 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004. Przy przelewach tradycyjnych w tytule przelewu prosimy podać: imię i nazwisko + adres + okres prenumeraty.



# Garuda Indonesia

*The Airline of Indonesia*



## WONDERFUL INDONESIA TRAVEL PASS

